

# Monizm i pluralizm w rozwoju dyscypliny nauki: politologia i pseudopolitologia

## 1. Politologia jako dyscyplina nauki?

W badaniach nad początkami dyscypliny nauki nie ma większego znaczenia ustalenie momentu pierwszego użycia jej nazwy czy tym bardziej daty powołania pierwszej katedry na uniwersytecie, która została określona tym mianem.<sup>1</sup> Kwestie instytucjonalizacji badań mogą przyciągać uwagę,<sup>2</sup> ale dla wyjaśnienia jej genezy i kształtowania się mają znaczenie marginesowe. Zadaniem nauki nie jest przecież utrzymywanie ośrodków badawczych i uczonych, ale opis i wyjaśnianie ważnych zjawisk, których poznanie, powiedzmy ogólnie i nieco wzniosłe, uznaje się za niezbędne dla funkcjonowania cywilizacji i jej rozwoju.

O wyłanianiu się dyscypliny nauki można mówić, wyrażając się bardziej rzeczowo, wyłącznie wtedy, kiedy uświadomieniu podlega na tyle ważny przedmiot badań, że staje się on obiektem dociekań prowadzonych w czasie życia kolejnych pokoleń ludzi. Tak kształtowały się astronomia i chemia. Dzisiaj muszą to jednak być już takie badania, które realizuje się metodami uznawanymi za naukowe. W innym przypadku mamy do czynienia z wiedzą potoczną lub doktrynalną. Gdy przedstawia się je jako naukę, reprezentuje się stanowisko anachroniczne i dopuszcza nierzetelności. Jak to ma miejsce w przypadku astrologii i alchemii.

Jak to ma miejsce jeszcze dzisiaj w przypadku teologii. Czym różni się pozycja na uniwersytecie politologii od pozycji teologii? Pytanie to okazuje się ważne szczególnie wtedy, kiedy przedmiotem zainteresowania staje się teologia polityczna. Z pewnością oba zagadnienia, czyli relacji politologii i teologii, a także funkcji teologii politycznej, zyskują jeszcze bardziej na znaczeniu, gdy czytamy wypowiedzi

---

1 Do tego redukują genezę dyscypliny profesorowie próbujący opisać kształtowanie się politologii. Np. Z. Kantyka, Politologia, [w:] Encyklopedia politologii, T. I, Teoria polityki, Kraków 1999, s. 229; T. Bodio, Polityka w życiu społecznym, [w:] K. Wojtaszczyk, W. Jakubowski (red.), Społeczeństwo i polityka. Podstawy nauk politycznych, Warszawa 2002, s. 167–168.

2 Jak B. Krauz-Mozer, P. Borowiec, P. Ścigaj, Kim jesteś politologu? Historia i stan dyscypliny w Polsce, t. I, Kraków 2011, s. 21–25.

doktorów „ nauk o polityce ” poświęcone kobiecie w szkolnictwie wyższym,<sup>3</sup> demokracji medialnej,<sup>4</sup> nieprawdziwej polityce,<sup>5</sup> postpolityce,<sup>6</sup> geopolityce<sup>7</sup> i geoekonomii.<sup>8</sup> Prace te dowodzą, że na wydziałach nadających doktoraty nazywane doktoratami z „ nauk o polityce ”, rozumiane dzisiaj jako doktoraty politologiczne, wszystko można uczynić przedmiotem publikacji (bo nie badań), stosując bez zrozumienia dowolną terminologię, pomijając dorobek innych badawczy i kopiując bez zahamowań z wybranych źródeł. Czy czasem nie jest to pseudonauka, polegająca na produkowaniu tekstów bez wartości wymaganej od tekstów naukowych?

W warunkach współczesnego zaawansowania nauki dyscyplina nie osiągnie minimalnej dojrzałości i tym samym nie zdobędzie uznania pozwalającego zakwalifikować ją do kręgu liczących się dyscyplin nauki, jeśli badacze nie wykażą, że właściwy dla niej sposób ujęcia przedmiotu poznania ma na tyle doniosłe znaczenie, iż prowadzone przez jej reprezentantów badania wnoszą do naszej wiedzy więcej, aniżeli wniosły dyscypliny starsze i często bardziej już zaawansowane. Oczywiście w zakresie specyficznego przedmiotu poznania, a nie w kwestiach dobieranych przypadkowo, jak to ma miejsce w polskiej pseudopolitologii,<sup>9</sup> gdzie dorobek badawczy dyscypliny się pomija, a najczęściej stosowaną metodą stało się kopiowanie.

Dzisiaj w Polsce, gdzie nie ma już uniwersytetów, a główną cechą uczelni nazywanych uniwersytetami z pewnością jest ich niesamodzielność, ta zasada nie obowiązuje. Specjalistów nie pyta się o zdanie. Do dyscyplin nauki zalicza się obszary wiedzy w efekcie spotkań urzędników, bez wykazania zasadności owej kwalifikacji. Tak ostatnio do rangi dyscyplin nauki awansowały polityka publiczna (czy „ polityki publiczne ” – któż to wie spośród promotorów nowej pseudodyscypliny?) i medioznawstwo. Z biegiem czasu nie da się jednak uniknąć także w ich przypadku pytania o to, dlaczego do tego doszło i czy podjęta decyzja była uprawniona.

W przypadku politologii postawienie tego pytania wydaje się naturalne, ponieważ profesorowie nazywający się „ politologami ” wyraźnie pokazali w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat, że nie wiedzą, co i dlaczego badają. Politologię określili jako „ dyscyplinę interdyscyplinarną ”,<sup>10</sup> „ multidyscyplinarną rodzinę nauk ”,<sup>11</sup> by w końcu stwierdzić, że jest ona subdyscypliną socjologii, obciążoną myśleniem dys-

3 K. Szewior, *Kobiety w szkolnictwie Republiki Federalnej Niemiec w latach 1969–1998*, Wrocław 2005.

4 S. Michalczyk, *Demokracja medialna: teoretyczna analiza problemu*, Toruń 2010.

5 M. Karwat, *O karykaturze polityki*, Warszawa 2012.

6 J. Golinowski, *Perspektywy porządku postpolitycznego: w stronę technologii władzy*, Warszawa 2007.

7 T. Klementewicz, *Geopolityka trwałego rozwoju: ewolucja cywilizacji i państwa w trakcie dziejotwórczych kryzysów*, Warszawa 2013.

8 E. Haliżak (red.), *Geoekonomia*, Warszawa 2012.

9 Jak pokazałem w tomie *Podstawowy dylemat politologii: dyscyplina nauki czy potoczna wiedza o społeczeństwie? O tradycji uniwersytetu i demarkacji wiedzy*, Białystok 2012.

10 Redaktorzy, *Wstęp*, [w:] A. Antoszewski, A. Dumala, B. Krauz–Mozer, K. Radzik (red.), *Teoretyczne i metodologiczne wyzwania badań politologicznych*, Lublin 2009, s. 7.

11 M. Karwat, *Polityczność i upolitycznienie. Metodologiczne ramy analizy*, „ *Studia Politologiczne* ” 2010, vol. 17, s. 65.

cyplinowym.<sup>12</sup> Tutaj oczywisty piramidalny nonsens goni kolejny oczywisty piramidalny nonsens i końca tego wyciągu na pseudonaukowe formułki nie widać.

Nikomu nie przeszkadza głoszenie tych i podobnych stwierdzeń. Nie podlegają one krytyce ze strony profesorów zasiadających w radach wydziałów nadających doktoraty. Dlatego ci mogą przyznawać nie tylko doktoraty określane anachronicznym mianem „ nauk o polityce”, ale także promować doktorów, którzy przedstawiają rozprawy na dowolny temat. Ich działalność jest dowodem najbardziej tragicznej choroby uczonego, czyli ignorancji. Efektem tej działalności jest symulowanie badań naukowych. Tak pseudonauka wypiera i zastępuje naukę. W końcu uczniowie profesorów nie wiedzą, czy to, czego się nauczyli jest nauką, czy może jest czymś innym.<sup>13</sup> Na przykład pseudonauką, którą należałoby nazywać pseudopolitologią.

Decyzją polityczną czy urzędniczą można powołać wyłącznie dowolną dyscyplinę pseudonauki. Do tej rangi da się pewnie w ten sposób nawet awansować tarot, astrologię, jasnowidztwo i politykę historyczną. Na naszych uniwersytetach, gdzie decyzją polityczną zdegradowano wiedzę podstawową i jako kryterium wkładu w badania wprowadzono „umiędzynarodowienie” polegające na prezentacji wyników kopiowania po angielsku, zaś dorobek naukowy już nie podlega ocenie merytorycznej, tylko wylicza się go w punktach (jest to efektem utraty zdolności profesorów do krytycznej analizy prac swoich kolegów, czyli do rzeczowego i uczciwego recenzowania), gdzie profesorów pozbawiono nieomal całkowicie prawa do niezależnej wypowiedzi, takie działania nie tylko zyskały sens, ale stały się możliwe.

Medioznawstwo mogło po prostu otrzymać status podobny do towaroznawstwa. W ten sposób nie trzeba już doktoratów z wiedzy o czasopiśmie, z pociągownictwa, drogoznawstwa czy samorządoznawstwa po cichu przemycać w ramach politologii. Można nadać doktorat z medioznawstwa lub polityki publicznej. Teraz pozostaje jeszcze wpisanie na listę dyscyplin „polityki prywatnej” (jeśli wydziela się „politykę publiczną”, można to uczynić tylko w opozycji do „polityki prywatnej”). Wtedy poszerzy się paletę możliwych tematów doktorskich z pseudonauki.

Tak w polskiej pseudonauce dokonał się postęp w nazewnictwie i została stworzona możliwość oficjalnego uzyskiwania stopnia doktora przez tych, którzy nie mają pojęcia, czym jest nauka i politologia w szczególności. Dlaczego jednak istnieją niektóre dyscypliny, nie wie nikt. Wiadomo natomiast, że będziemy mieli liczną rzeszę doktorów, którzy nie mają pojęcia, kim są. Uzupełnią oni niemały już krąg zdezorientowanych doktorów „ nauk o polityce”.

W dłuższej perspektywie na jaw wyjdzie śmieszność tego rodzaju decyzji, podjętej w warunkach zaniku instytucji uniwersytetu i z pogwałceniem zasad wypracowanych w nauce. Kiedyś konieczna stanie się odpowiedź na pytania o to, czy nowa

12 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki. Zarys metodologii nauki o polityce*, Warszawa 2010, s. 30 i 92.

13 *Politologia jako nauka? Analiza politologiczna wobec kwestii współczesnego świata*, M. Krzysztofik, D. Gausa (red.), Zielona Góra 2009.

dyscyplina nauki jest potrzebna i czy jej wyodrębnienie było zasadne? Czy czasem uważający się za uprawiających te dyscypliny nie powielają danych z zakresu już istniejących dyscyplin nauki, albo nawet z zakresu wiedzy potocznej i dostarczają publikacji, które są zbędne z racji symulowania badań jedynie celem otrzymania stopnia naukowego. Gdy jedyną rozwiniętą kwalifikacją jest oszukiwanie.

Medioznawstwo i polityka publiczna z pewnością nic nie wnoszą. Są tylko efektem nadmiernych ambicji profesorów i szkodliwej tendencji, aby nieomal każdą wiedzę, która zyskała pewną popularność, podnosić do rangi dyscypliny nauki i nadawać pod jej nazwą doktoraty (bo nie zawsze w jej zakresie, który często pozostaje nieznanym). Są efektem rozwoju pseudonauki, której reprezentanci niczego ważnego nie badają, tylko delektują się nobilitacją w postaci prawa do nadawania doktoratów.

Dlaczego nikt dotychczas nie wprowadził szlachetnej wiedzy rzemieślniczej z zakresu kowalstwa albo stolarstwa jako dyscyplin nauki? Przecież wiedza z tego obszaru jest praktyczna i bardzo przydatna. O wiele bardziej aniżeli wiedza z polityki publicznej i medioznawstwa. Któż jednak dzisiaj jest w stanie cokolwiek powiedzieć o kulturze kowalstwa i stolarstwa? Któż rozróżnia pomiędzy czynnościami zawodowymi i czynnościami naukowymi? Gdy w kręgach polskiej profesury ukształtowało się przekonanie, że z każdej wiedzy można nadawać doktoraty.

Można mieć poważne wątpliwości, czy cokolwiek do rozwoju naszej wiedzy wnosi politologia, skoro z publikacji, zwłaszcza zaś doktoratów nadawanych w zakresie „nauk o polityce”, jednoznacznie wynika, że autorzy tych tekstów nie wiedzą co badają. Tym samym nie mogą powiedzieć, po co w ogóle badają to, co badają. Tym bardziej że oni zwykle nie badają, tylko kopiują. Dlatego doktoraty z kowalstwa i stolarstwa prawdopodobnie aktualnie byłyby o wiele bardziej zasadne merytorycznie i przydatne aniżeli z „nauk o polityce”.

Wstępnym warunkiem wykazania znaczenia ewentualnej dyscypliny nauki jest czynność całkowicie naturalna, by nie rzec praktyczna, a mianowicie udowodnienie, że przedmiot poznania istnieje i jest na tyle istotny, iż w ogóle potrzebne jest wyodrębnienie dyscypliny nauki zajmującej się jego badaniem. Warto uświadomić sobie, że nie wystarczy wpisanie medioznawstwa na listę dyscyplin nauki w efekcie aktów administracyjnych czy zbiorowej ignorancji, gdy profesorowie medioznawcy nie powiedzieli i nie są w stanie powiedzieć co i dlaczego badają, wznosząc się cokolwiek ponad poziom wiedzy potocznej. Gdy na dodatek często nie jest im znana klasyczna literatura na temat komunikowania i mediów. Gdy ich nauka ogranicza się do kopiowania zagranicznych publikacji.

W przypadku politologii spełnienie tych warunków, zwłaszcza zaś trzeciego (dyscyplina wnosi do poznania znacznie więcej aniżeli dyscypliny wcześniej zajmujące się jej przedmiotem poznania), może być szczególnie trudne. Politologia kształtowała się i nadal dojrzewa, gdy istnieją takie tradycyjne dyscypliny, jak prawo, hi-

storia, ekonomia i socjologia. Te dyscypliny mają uznany dorobek i nie bez powodu między innymi zajmują się zjawiskami politycznymi. Ich opisanie i zrozumienie jest bardzo ważne z punktu widzenia specyficznego przedmiotu poznania każdej z nich.

Ponieważ dyscypliny te kształtowały się i rozwijały, gdy politologii jeszcze nie było, został sformułowany pewien zasób wiedzy na temat zjawisk politycznych. Zwłaszcza w przypadku prawa jest to zasób znaczący. Nie da się określić zakresu przedmiotowego politologii bez uwzględnienia dorobku prawa. Tymczasem na wydziałach politologii, gdzie zatrudniono niezliczoną ilość prawników, jest on zupełnie nieznan. Co gorsza, nawet doktoranci uczą się z książek napisanych przez prawników, którzy lekceważą nie tylko elementarny dorobek politologii, ale przede wszystkim samej nauki prawa.<sup>14</sup> Nie mają pojęcia o prawnikach, którzy wnieśli znaczny wkład do badania zjawisk politycznych i relacji pomiędzy prawem i politologią. Gdy profesorowie prawa utracili kontakt ze współczesną nauką, nie rozróżniają już pomiędzy doktryną i teorią, w sposób potoczny rozumiejąc pojęcie „teorii”. W efekcie tego piszą na przykład o „normatywnej teorii władzy politycznej”,<sup>15</sup> przenosząc na wydziały prawa pseudonaukę politologii.

Dlatego pytanie o to, czy politologia jest w ogóle potrzebna jako dyscyplina nauki, okazuje się nie tylko zasadne, ale bardzo ważne. Nie sposób go uniknąć, gdy dostrzega się dorobek poznawczy historii, socjologii, ekonomii, a przede wszystkim prawa. Bez zdolności udzielenia odpowiedzi na to pytanie badacze nazywający się „politologami” nie mogą nie tylko określić własnej tożsamości, ale nie mogą też być pewni swego miejsca na uniwersytecie. Oni redukują się do pozycji nie pedagogów, meteorologów i teologów, ale astrologów i alchemików, a ich czynności, gdy podejmują się komentarza politycznego i marketingu politycznego, do złudzenia przypominają działalność celebrytów nazywanych pogodynkami. Tacy pseudopolitolodzy przecież wyłącznie kopiują zachowania ludzi, którzy są znani, ponieważ są znani. Oni nie posługują się wiedzą, tylko innymi środkami walczą o popularność, aby w ten sposób zyskać pozycję medialną pozwalającą im uchodzić za autorytet medialny i upowszechniać własne poglądy (a może tylko publicznie zaznaczyć swoją obecność?).

Doktorzy „nauk o polityce” nie są w stanie zrozumieć tego zjawiska, przede wszystkim zaś jego konsekwencji dla popularyzacji wiedzy naukowej. Nie są świadomi, że warunkiem popularyzacji wiedzy naukowej jest jej uprzednie posiadanie. Tymczasem politolodzy demonstrują w mediach jedynie ignorancję, którą usiłują przykryć kopiowaniem wiedzy potocznej. Nie wstydzą się własnej naiwności, bra-

14 M. Chmaj, M. Żmigrodzki, *Wprowadzenie do teorii polityki*, Lublin 1996; B. Szmulik, M. Żmigrodzki (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002.

15 K. Pałeczki, *Wprowadzenie do normatywnej teorii władzy politycznej*, [w:] B. Szmulik, M. Żmigrodzki (red.), *Wprowadzenie do nauki o państwie i polityce*, Lublin 2002, s. 183–217.

ku wiedzy i nie rozumieją, jak bardzo ośmieszają nie tylko samych siebie, ale przede wszystkim instytucje uniwersytetu i profesury, dowodząc, że są one zbyteczne.

Szczególnie uznanie polityki publicznej za dyscyplinę nauki na podstawie decyzji administracyjnej, bez jakiegokolwiek uzasadnienia i bez uprzedniego zainicjowania badań metodologicznych, należy traktować jako efekt upadku polskiej nauki. Przede wszystkim jednak jest skutkiem i świadectwem upadku polskiej politologii. Nie dostarcza ona na tyle ważnego, a nawet widocznego zasobu wiedzy, aby można było stwierdzić, że mówienie o polityce publicznej (tym bardziej zaś „politykach publicznych”) jest samo w sobie nonsensem.

Istnieje poważne podejrzenie, że to, co obecnie nazywa się „politologią”, może być tylko środkiem politycznym, ale profesorowie uznający się za politologów nie zdają sobie z tego sprawy. Ich promotorów i poprzedników mianowali politycy w czasach zimnej wojny, czyli w epoce nasilonej walki ideologicznej, a oni sami z przyzwyczajenia służą im i powielają treści propagandowe. Czy czasem ignorancja metodologiczna, lokajstwo i skłonność do kopiowania to nie są trzy podstawowe cechy pracowników wydziałów nazywanych w III Rzeczypospolitej „wydziałami politologii”?

To, co dzisiaj traktuje się jako politologię, wykazuje wiele cech typowych dla astrologii, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z pracownikami akademickimi budującymi własny autorytet medialny lub profesorami historii, socjologii czy prawa podszywającymi się pod politologów. Tymczasem znaczenie politologii można pokazać w sposób złożony, za pomocą skomplikowanego wywodu,<sup>16</sup> ale także dowieść go dość prosto w efekcie elementarnego porównania dorobku różnych dyscyplin nauki.<sup>17</sup>

Rozważmy następującą kwestię: dzisiaj system prawa jest zjawiskiem politycznym, istniejącym jedynie w warunkach funkcjonowania innych zjawisk politycznych, w rodzaju państwa, władzy politycznej, systemu politycznego itd. Zwłaszcza w wysoko zaawansowanej cywilizacji, całkowicie związanej z istnieniem instytucji państwa, prawo należy do najważniejszych zjawisk politycznych, natomiast prawo zwyczajowe ma charakter marginesowy. Dlatego obok ogólnej teorii normy prawa teoria zjawisk politycznych jest warunkiem sformułowania teorii systemu prawa i funkcjonowania nauki prawa.

Prawo w dzisiejszym rozumieniu nie jest efektem istnienia władzy politycznej czy państwa, ale skutkiem złożonych procesów kształtowania społeczeństw ludzkich i w końcu mobilizacji politycznej, które prowadzą do wyłonienia różnych pod-

16 Zawiera go tom: R. Skarżyński, *Mobilizacja polityczna. Współpraca i rywalizacja człowieka współczesnego w wielkiej przestrzeni i długim czasie*, Warszawa 2011.

17 Wskazał na to blisko sto lat temu H. Heller, ale kwestia ta nie zaistniała w świadomości polskich politologów, chociaż podjąłem ją przed dwudziestu laty (R. Skarżyński, *Od chaosu do ładu. Carl Schmitt i problem tego, co polityczne*, Warszawa 1992, s. 31–33; wyd. nowe, Warszawa 2012, s. 59–63).

miotów z powołania walczących o porządek świata. Poza prawem zwyczajowym każdy system prawa jest w znacznej mierze rezultatem ich aktywności.<sup>18</sup> Ustanowienie go jako obowiązującego zawsze jest aktem politycznym.

Gdyby nauka prawa była w stanie wyjaśnić zjawiska polityczne w sposób zadowalający, nie byłoby miejsca dla politologii, która ma rację bytu jako nauka tylko wtedy, gdy mówi nam wyraźnie więcej o zjawiskach politycznych aniżeli nauka prawa, w szczególności teoria państwa i prawa. Być może więc politologia nie jest wprawdzie warunkiem istnienia nauki prawa (ponieważ jest ona samodzielną i uznaną dyscypliną nauki), ale rozwój badań prawnych nie będzie w przyszłości możliwy bez badań nad zjawiskami politycznymi, czyli przedmiotem poznania specyficznym dla politologii.

Dzisiaj prawnicza teoria państwa i prawa oraz politologiczna teoria zjawisk politycznych są naturalnymi rywalami w pozytywnym rozumieniu tego terminu. Druga może mieć znaczenie i wartość tylko wtedy, jeśli wniesie coś istotnego do naszej wiedzy. Nie w ogóle istotnego, ale istotnego w porównaniu przede wszystkim do teorii państwa i prawa.

Współczesna teoria państwa i prawa jest daleka od zadowalającego wyjaśnienia zjawisk politycznych. Przede wszystkim nie uwzględnia wyników badań biologii, historii i socjologii. W wielu sprawach cofnęła się w rozwoju, jeśli porównamy jej obecne twierdzenia z ustaleniami niemieckiej teorii państwa i prawa pierwszej połowy XX w. Taka teoria państwa i prawa nie nadaje się do kopiowania, powinna natomiast być obiektem krytyki politologów, ponieważ jest jednym z powodów niedojrzałości teorii demokratycznego państwa prawa. Jest ona także odpowiedzialna za stan teorii prawa międzynarodowego, która nadal formułowana jest językiem dyplomacji i nie wyjaśnia w sposób naukowy podstawowych kategorii, chociażby takich, jak „porządek międzynarodowy” i „międzynarodowa wspólnota państw”. Nie wspominając o problematyce „systemu międzynarodowego”.<sup>19</sup>

Politologia nie może integrować wyników badań dyscyplin od niej starszych, jak twierdzili niektórzy teoretycy polityki III Rzeczypospolitej. Natomiast w konfrontacji z teorią państwa i prawa nie tylko pokazujemy znaczenie politologii, ale testujemy jej dorobek. Nie wypada on dzisiaj obiecująco. Z łatwością ustalimy, że wprawdzie pracownicy współczesnych polskich wydziałów, na których wykłada się politologię, bardzo dużo publikują, ale wątpliwe jest, czy dotychczas wnieśli coś więcej do naszej wiedzy o zjawiskach politycznych aniżeli prawnicy. Oni zwykle

18 R. Skarżyński, *Ewolucja i prawo. O tym, jak życie normuje się samo*, [w:] A. Sylwestrzak, D. Szopper, A. Michnikowska, P. Dąbrowski (red.), *Kultura i myśl polityczno-prawna. Materiały z VII Ogólnopolskiego Zjazdu Katedr Doktryn Politycznych i Prawnych, Jurata, 28–31 maja 2008 r.*, Sopot 2010, s. 416–429.

19 R. Skarżyński, *Od statusu uczonego do funkcji ideokopiarki. Jak uniwersyteccy profesorowie dają się przekształcać w środek polityczny i rujną własną dyscyplinę, powielając zachodnie wizje rzeczywistości międzynarodowej*, [w:] W. Mich, J. Nowak (red.), *Wokół teorii stosunków międzynarodowych*, Lublin 2012, s. 19–82.

raczej nieudolnie kopią ich twierdzenia i ważnej części z nich nie rozumieją. Ponieważ w Polsce na dodatek profesorowie nazywający się „politologami” faktycznie zniszczyli teorię własnej dyscypliny i uznali ją za „dyscyplinę interdyscyplinarną”, można mówić o regresie i upadku dyscypliny niegdyś włączonej do badań i nauczania przez polityków. Nasuwa się niestety wniosek, że politologia została wprowadzona na uniwersytet w wyniku pogwałcenia tradycyjnych zasad wyodrębniania wiedzy naukowej (przede wszystkim zasady, że to, co jest nauką, określają nie politycy, lecz badacze) i dzisiaj politolodzy nie są w stanie obronić swoich pozycji. Istnieją na uniwersytecie tylko w efekcie jego słabości. Pozbawieni wiedzy i godności, poświęcają się symulowaniu badań naukowych.

Poza tym podręczniki politologii wypełnione są oczywistymi nonsensami w rodzaju pseudoteorii stosunków międzynarodowych, pseudoteorii partii politycznych, systemów politycznych, władzy politycznej, marketingu politycznego, wiedzy o samorządach itd. Nieomal cała ta wiedza jest bezwartościowa, a nawet szkodliwa, ponieważ lekceważy badania źródłowe (nawet podstawowe ustalenia historyków), elementarne teorie (nadrzędne wobec politologii), powstała wskutek kopiowania wiedzy potocznej i doktrynalnej oraz nijak ma się do rzeczywistości. Chociaż ta wiedza wyraźnie kłóci się nawet ze zdrowym rozsądkiem (słynne tezy o indukcyjnym charakterze politologii i „dyscyplinie interdyscyplinarnej” są powtarzane, a nawet bronione jeszcze dzisiaj – w 2012 r. opublikowano też „manifest geoekonomiczny”, będący wyłącznie manifestacją ignorancji i pseudonauki), nie podlega krytyce i weryfikacji. Ta wiedza jest nonsensowna z powodu braku teoretycznej refleksji nad tym, co polityczne. W tych książkach albo wszystko traktuje się jako polityczne, albo w ogóle nie dostrzega, że to, co polityczne istnieje i jest przedmiotem poznania politologii.

Jak można mówić o państwie, władzy politycznej, partiach politycznych, międzynarodowych stosunkach politycznych czy systemach politycznych bez teorii tego, co polityczne, czyli teorii zjawisk politycznych? Gdy nie istnieje jakakolwiek świadomość obecności przedmiotu poznania, który łączy te z pozoru odległe zjawiska i wskazuje na konieczność ich wspólnego badania. W ramach jednej dyscypliny nauki.

Nieobecność w publikacjach politologicznych teorii zjawisk politycznych powoduje, że to, co nazywa się „politologią”, jest pozbawione statusu naukowego. Nie tylko dlatego, że nie wyjaśnia więcej aniżeli prawo, socjologia czy ekonomia, ale przede wszystkim ze względu na to, iż zawarte w rzekomych publikacjach politologicznych analizy nie uwzględniają stanu badań innych dyscyplin nauki (przede wszystkim biologii, historii i socjologii), są błędne i bałamutne. Jak nonsensowna jest teza wyjaśniająca powstawanie partii politycznych rozwojem instytucji parlamentarnych, gdy całkowicie ignoruje się procesy rozpadu władzy dynastycznej. Albo twierdzenie, że istnieje porządek międzynarodowy, skopiowane z tekstów dy-



plomatów i amerykańskiej ideologii imperialnej. Nie mówiąc już o pseudoteoriach geopolityki, geoeconomii, końca historii i systemu jednobiegunowego, pełniących wyłącznie funkcję środka politycznego, traktowanych jednak przez polskich politologów jako teorie naukowe. Już tylko dlatego, że badacze nazywający się „politologami” są w stanie skopiować każdą tezę, nie zastanawiając się nad tym, co ona wyjaśnia, czy odpowiada wymaganiom nauki i czy w ogóle ma jakiś związek z przedmiotem poznania politologii. Jak kopiują wiedzę o samorządach, z uporem twierdząc, że jest częścią wiedzy politologicznej. Kiedy całkowicie ignoruje się problem genezy, funkcji i relacji samorządów do dynastii i partii politycznych.

Między innymi z powodu braku teorii tego, co polityczne, politolodzy okazują się bezbronni wobec inwazji pseudonauki i przekształcają się w pseudopolitologów. Zauważmy ponadto, że pisane przez nich podręczniki zwykle nie powstają ani w wyniku oryginalnych badań autorów, ani w efekcie kwerendy literatury światowej. Kopiują się z podręczników wcześniejszych, także zawarte w nich błędy. Tekstów nie piszą już doświadczeni profesorowie, tylko młodzi doktorzy, a nawet magistry, bez elementarnej wiedzy na temat tego, czym jest podręcznik i jakie minimalne wymagania powinien spełniać. Do fabrykowania publikacji „politologicznych” i pseudopodręczników nie jest potrzebne zrozumienie nawet powierzchownych treści. Autorzy działają dokładnie na zasadach właściwych kserokopiarce.

Tak pod opieką naszego rządu umacnia się kopiowanie. Jest to możliwe tylko dlatego, że politycy zajmujący się nauką nie rozumieją różnicy pomiędzy badaniami naukowymi i kopiowaniem, a także nie wiedzą, ile kosztują badania naukowe. Sformułowanie postulatu o konieczności prowadzenia w Polsce badań naukowych na światowym poziomie było możliwe tylko dlatego, że polscy politycy nie rozumieli pozycji Polski w świecie, zależności utrzymujących nasze państwo w systemie europejskim, zaś ich pojmowanie polityki międzynarodowej w praktyce prowadziło i nadal prowadzi jedynie do tego, co trafnie określono „samowasalizacją i klientelizmem”.<sup>20</sup> Ta polityka trwa nadal, a jej efektem jest autokolonizacja ujawniająca się w realizowanej już jawnie od 2005 r. polityce dewastacji nauki, uczelni wyższych, w szczególności zaś uniwersytetów, gdy ostatecznie uznano, że ta tradycyjna instytucja jest zbędna i pod jej nazwą mogą dalej istnieć tylko szkoły zawodowe. Uniwersytet przymiotnikowy jest produktem tego procesu, podobnie jak są nimi system punktowania dorobku pseudonaukowego i nowe działy pseudonauki.

Podręczniki określane jako podręczniki politologii wyglądają dzisiaj tak, jak wyglądałyby podręczniki prawa, których autorzy nie mieliby pojęcia, czym jest system prawa. Jak podręczniki socjologii napisane przez profesorów niezających sobie sprawy z tego, że istnieje społeczeństwo. Albo jak podręczniki ekonomii skompilowane przez ludzi nierozumiejących, że funkcjonowanie społeczeństwa jest możli-

20 R. Zięba, Główne kierunki polityki zagranicznej Polski po zimnej wojnie, Warszawa 2012, s. 149–157.

we wyłącznie w efekcie gospodarowania zasobami. Lektura podręczników pseudopolitologii („nauk o polityce”?) dowodzi, że ich autorzy nie mają nie tylko pojęcia, czym są zjawiska polityczne, ale nawet nie zdają sobie sprawy, że one istnieją.

Chciałoby się sformułować tezę, że politologia poniekąd pojawiła się i istnieje z racji ograniczeń nauki prawa, gdyż proponuje nowe wyjaśnienie zjawisk politycznych, wykraczające poza możliwości prawników, wytyczone ich perspektywą poznawczą. Tak samo dotyczyłoby to historii, socjologii i innych dyscyplin nauki, nawet jeśli ich udział w wyjaśnianiu zjawisk politycznych jest mniejszy od nauki prawa, już z racji specyfiki przedmiotu poznania. Jednak takiej tezy nie da się obronić z powodu zawartości książek pseudopolitologicznych, wypełnionych nonsensownymi definicjami, myślenie bezbronnym czytelników prowadzących na manowce.

Istnienie politologii jako dyscypliny nauki miałyby sens jedynie wtedy, gdyby dostarczana przez nią wiedza dowodziła obecności takiego przedmiotu poznania, do którego opisanie i wyjaśnienia nie wystarczą badania innych nauk społecznych i konieczne jest wyłonienie nowej dyscypliny nauki.

Być może w przypadku politologii problematyka przedmiotu poznania ma większe znaczenie aniżeli w przypadku innych dyscyplin nauki. Nie tylko dlatego, że politologia pochodzi z nieprawego łoża, ale ponieważ pracownicy wydziałów politologii są często politycznie zależni, politycznie promowani, a wśród nich dominują profesorowie nie tylko budujący wokół siebie sekty zamiast szkół naukowych. Mają oni też skłonność do bezwstydnego prezentowania w mediach własnych pseudonaukowych skłonności, gdy grają rolę politycznych pogodynek i przedstawiają rzekome analizy, które niczego nie wnoszą do zrozumienia zjawisk politycznych, nawet bieżącej polityki. Przeciwnie, ci typowi pseudopolitolodzy jedynie generują szum medialny i ich działalność jest szkodliwa dla demokracji. Zwłaszcza kiedy głoszą, że marketing polityczny jest działem politologii i w ogóle nauką. Wtedy już otwarcie przyczyniają się do przekształcania politologii w pseudonaukę.

Dlatego politologia stała się dzisiaj nieomal zbędna, a wydziały politologii nadają się jedynie do likwidacji. Reforma jest trudna do wyobrażenia. Można zamiast politologii uczyć różnego rodzaju bezpieczeństwa (także bezpieczeństwa i higieny pracy w polityce, jak zaproponował w serii publikacji jeden z czołowych polskich promotorów pseudopolitologii<sup>21</sup>), medioznawstwa, naiwnego marketingu politycznego, „polityk publicznych”, tarota i astrologii. Tutaj nikt nie wymaga erudycji i są to działy wiedzy (bo nie dyscypliny nauki) nieodbiegające od wiedzy potocznej, akurat odpowiednie dla profesorów uważających się za politologów.

Natomiast niemożliwa jest politologia w sensie dyscypliny nauki, której przedstawiciele nie wiedzą, co jest przedmiotem poznania prowadzonych przez nich ba-

21 Zob. analizę tego fenomenu: R. Skarżyński, *Podstawowy dylemat...*, *op. cit.*, s. 122–136.

dań i gotowi są badać każdy obiekt, jeśli tylko przyciągnie ich uwagę. Niezależnie od powodów. Takie podejście nie jest w ogóle nauką. Należy je traktować jako przejaw typowej pseudonauki. Tym bardziej że politolodzy zwykle nie prowadzą badań, ale z ochotą kopiują z tekstów doktrynalnych i propagandowych, nie zdając sobie sprawy ze śmieszności tych działań.

Politologia powielaczowa jest niepotrzebna, ponieważ nie jest to nauka tylko co najwyżej częściowa kopia ustaleń innych nauk społecznych, zwykle zresztą dawno nieaktualnych. Szkodliwa jest taka politologia, która swoją tożsamość wyraża formułą „dyscypliny interdyscyplinarnej”, czyli znajduje swoje uzasadnienie w uznaniu, że jest „naukami o polityce”. Obecnie stopień doktora politologii nadawany jest właśnie wedle formuły „dyscypliny interdyscyplinarnej”, czyli „nauk o polityce” i jest to dowodem, że świadomość teoretyczna politologów zatrzymała się na etapie rozwoju, którego podstawy nie tylko są przestarzałe, ale obecnie nie są nawet przedmiotem refleksji krytycznej. Nie dostrzegają się, że to, co kiedyś jawiło się jako oczywiste, dzisiaj stało się nonsensem.

Być może w tym procesie ujawnia się dojrzewanie dyscypliny nauki, ale musi on jeszcze zostać uświadomiony i krytycznie przeanalizowany, przede wszystkim w zakresie jego skutków.

„Nauki o polityce” to tradycyjna nazwa tego, co niedawno bezkrytycznie określono mianem „dyscypliny interdyscyplinarnej”, bezwiednie dając świadectwo, że politologię powołano do życia intuicyjnie, w warunkach słabej świadomości przedmiotu poznania i dzisiaj zostaje ona poddana likwidacji. Nie tylko w efekcie zniknięcia badań i kopiowania, ale ponieważ profesorowie nazywający się politologami nie wiedzą, co badają i myślą, że reprezentują „dyscyplinę interdyscyplinarną”.

Tymczasem oni nawet nie są świadomi elementarnych nonsensów, które upowszechniają z pogwałceniem podstawowych zasad współczesnej nauki, jak niegdyś czynili to astrologi i alchemicy. Tylko że to było dawno i teraz już nie wypada powtarzać schematów sprzed wieków.

Wyartykułowane ostatnio pojęcie „dyscyplina interdyscyplinarna”, które nie jest zupełnie przypadkowe, ponieważ faktycznie logicznie wynika z nazwy doktoratów określanych mianem „nauk o polityce”, jest efektem bezprecedensowego upadku uniwersyteckich wydziałów politologii (kolejnym dowodem jest bezkrytyczne przyjęcie „polityki publicznej”, tym bardziej zaś wprowadzenie do obiegu terminu „polityk publicznych”<sup>22</sup>), gdzie krytyka zanikła i kopiuje się wyłącznie celem uzyskania punktów wymaganych do awansu.

22 Nikt nie zauważył, że w języku polskim nie istnieje liczba mnoga słowa „polityka”. Jej brak nie jest przypadkowy. Który jednak z teoretyków polityki III Rzeczypospolitej byłby w stanie wyjaśnić, dlaczego słowo „polityka” występuje tylko w liczbie pojedynczej?

Tym bardziej zbędna wydaje mi się politologia w polskim wydaniu, gdy politologiem może ogłosić się każdy, ponieważ nie wiadomo, co określa tożsamość politologa. Oznacza to, że politologia występuje tylko w postaci nazwy (nawet popularnej nazwy), ale pojęcia tego się nie rozumie, jak zwykle nie rozumie się, co znaczą słowa „biopolityka” i „geopolityka”, w polskiej politologii używane wyłącznie wedle zapotrzebowania albo humoru. Zwłaszcza zaś zbędna jest politologia zbudowana metodą kopiowania wiedzy zaczerpniętej z mediów, gdy jednocześnie sami profesorowie, tym bardziej zaś dziennikarze nie wiedzą, czym politolog różni się od historyka czy socjologa (i określają swego gościa mianem „historyk i politolog” albo „politolog i socjolog”, zmuszając go do grania roli „astrologa politycznego”). Gdy nie wiedzą tego też profesorowie flagowych uniwersytetów, uzurpatorzy, sami określający się politologami, chociaż ani ich stopień, ani dorobek naukowy, tym bardziej zaś wiedza teoretyczna nie upoważniają do takiej deklaracji. W tych warunkach istnienie dyscypliny nauki ma charakter fikcyjny i określający się jako „politolog-dzy” stają się obiektem ironicznych ocen. Jedyną właściwą ich nazwą jest termin „pseudopolitolog”.

To, co współcześnie w Polsce rozumie się przez politologię, jest imitacją nauki. Faktycznie jest to pseudonauka i należy określać ją mianem pseudopolitologii.

Tymczasem politologia ukształtowała się w XX w. jako dyscyplina nauki dysponująca własnym doniosłym przedmiotem poznania. Niestety, na wydziałach nazywanych „wydziałami politologii” mało kto zdaje sobie sprawę z tego faktu i dlatego te placówki stały się obecnie ośrodkami zajmującymi się głównie powielaniem wiedzy potocznej i doktrynalnej. Na tych wydziałach dorobek politologii jako nauki pozostaje nieznany. Jest to efektem ogólnego kryzysu instytucji uniwersytetu, a w szczególności poddania się inwazji wiedzy potocznej i doktrynalnej.

Politologia może stać się pełnoprawną dyscypliną nauki tylko wówczas, gdy oddzieli się od pseudonauki „dyscypliny interdyscyplinarnej”, określanej mianem „nauk o polityce”, zdystansuje wobec potocznie rozumianej „nauki o polityce” i spełni współczesne wymagania stawiane wiedzy naukowej.

Ta dyscyplina może zostać określona wyłącznie jako politologia. Jednak nie chodzi tu oczywiście tylko o zmianę nazwy.

## **2. Spór metodologiczny o podstawy politologii jako dyscypliny nauki**

Nie żyjemy w czasach konsolidacji idei i teorii. Dlatego prezentowany tom nie został pomyślany jako propozycja odpowiedzi na wszystkie ważne pytania zrodzone dzisiejszym stanem uniwersyteckich wydziałów politologii i dyscypliny na-

uki. W obecnych warunkach, zaniku dyskusji i zdolności selekcji hipotez, nie jest to możliwe.

Ta książka miała być i jest zbiorem refleksji nad stanem politologii polskiej w fazie głębokiego kryzysu uniwersytetu, gdy ważną dyscyplinę nauki zredukowano do formy pseudonauki. Dokonano tego w wyniku zastąpienia standardowej refleksji teoretycznej, odwołującej się do dotychczasowego dorobku nauki, kopiowaniem, podniesionym do rangi metody naukowej. Skutkiem tego jest poddanie się przekonaniu, że wszystkie wypowiedzi, twierdzenia są nie tylko dopuszczalne, ale i mają takie same znaczenie, ponieważ ich selekcja jest niemożliwa. Tak ukształtował się pluralizm w rozumieniu potocznym, który z nauką nie ma i nie może mieć nic wspólnego. Jest natomiast dobrym ugruntowaniem dla powtarzanego z uporem godnym lepszej sprawy hasła badań interdyscyplinarnych, które nie są badaniami i nie są nauką.

Dlatego niniejszy tom otwiera dokonanie z przeszłości. Tekst Jana Woleńskiego z wczesnego okresu rozwoju polskiej politologii znalazł się w nim, ponieważ autor blisko czterdzieści lat temu wnikliwie przedstawił problemy nowej dyscypliny nauki, możliwy wokół niej spór i jednoznacznie wskazał na jej przedmiot poznania, czyli na zjawiska polityczne.<sup>23</sup> Od tego czasu nic się nie zmieniło.

Innymi słowy „Spór o status metodologiczny nauki o polityce” to klasyczny tekst politologii polskiej, chociaż nie napisał go politolog. Nie napisał go ktoś, kto chciałby udawać politologa, jak to jest dzisiaj przyjęte w kręgu niektórych prawników, filozofów, historyków, socjologów i innych akademików. Gdy oni w swojej dyscyplinie nie umieją powiedzieć czegokolwiek ważnego i, pozbawieni poczucia tożsamości, a także wiedzy z podstaw naukoznawstwa, szukają łatwiejszej drogi kariery. Jako politolodzy medioznawcy, marketingowcy polityczni czy specjaliści od politologii kolejowej i drogowej.

Woleński jako metodolog wytyczył trafną i możliwą drogę rozwoju politologii jako dyscypliny nauki w Polsce, jednak akademicy próbujący ją uprawiać nie poszli we wskazanym kierunku. Nie poszli nią nawet filozofowie próbujący nauczać teorii i metodologii na wydziałach politologii, udający politologów i nierzadko przekonani, że mogą ich instruować.

Autorstwo klasycznego tekstu metodologicznego nie czyni Woleńskiego politologiem. Nie czyni go, nawet jeśli wskazana droga wydaje się dzisiaj nadal właściwa. Profesor nie miał i nie ma takich ambicji, natomiast pokazał jak politologia mogłaby się rozwijać na zasadzie analogii do innych dyscyplin nauki. Nie jest przecież jakimś niezwykłym, specyficznym typem wiedzy, której rozwój przebiega w szczególny sposób. Na dodatek Woleński trafnie wskazał na wysoki status politologii w strukturze wiedzy, czyli na problem całkowicie niezrozumiały dla profesury zatrudnionej

23 R. Skarzyński, *Podstawowy dylemat...*, *op. cit.*, s. 63.

obecnie na polskich wydziałach nadających doktoraty w zakresie „nauk o polityce”. Nie został on podjęty nawet przez nielicznych jej członków. Zamiast tego w III Rzeczypospolitej mieliśmy do czynienia z deprecjacją rangi politologii nie tylko sprowadzonej do pozycji pseudonauki, ale zredukowanej do wiedzy potocznej, której odmawia się zdolności do kreowania teorii,<sup>24</sup> statusu dyscypliny nauki,<sup>25</sup> a nawet uznaje za część socjologii.<sup>26</sup> To niezwykle przypadek, kiedy doktorzy habilitowani, w szczególności wykazujący ambicje metodologiczne, nie rozumieją znaczenia własnej dyscypliny nauki i sami ją jednoznacznie dezawuuują.

Droga wytyczona w „Sporze o status metodologiczny nauki o polityce” dzisiaj zasługuje na dyskusję. Coraz lepiej zdajemy sobie sprawę z istniejącego dorobku politologii. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza uległ on rozwinięciu, a także możemy zapoznać się z dokonaniem wydziałów nadających w III Rzeczypospolitej doktoraty w zakresie tzw. „nauk o polityce”. Jesteśmy w stanie zbadać rzeczywisty stan teorii rozwijanych przez profesorów, którzy przez lata implementowali pomysły zbudowane na wiedzy potocznej i w końcu ogłosili politologię „dyscypliną interdyscyplinarną”. Jak wskazałem już wyżej, nie był to przypadek, ale skutek dwóch dekad destrukcji własnej dyscypliny nauki.

Warto więc docenić wskazanie Woleńskiego sprzed nieomal czterdziestu lat, że politologia należy do doniosłych dyscyplin nauki. Tym bardziej gdy pseudopolitologowie wiele uczynili, aby je zdyskredytować w teorii i w praktyce. Tezy zawarte w tekście „Spór o status metodologiczny nauki o polityce” wymagają ponownego rozważenia, debaty, która mogłaby wiele wnieść do określenia tożsamości politologa. Chociażby dzięki dyskusji nad znaczeniem pseudoteorii. Woleński jedynie wzmiankuje, że często za teorie naukowe bierze się typowe pseudoteorie. Tymczasem kwestia ta ma ogromne znaczenie. W polskiej politologii jest to grzech nieomal powszechny, wstydliwie ukrywany, z którego trzeba przynajmniej zdać sobie sprawę, jeśli politologia ma pretendować do rangi nauki.

Kluczowy wydaje mi się problem interpretacji i zrozumienia tez Woleńskiego w całej właściwej im złożoności. Tym samym „Spór o status metodologiczny nauki o polityce” jest tekstem seminaryjnym i powinien być znany, jeśli nie każdemu absolwentowi studiów politologicznych, to z pewnością każdemu doktorowi politologii. Nie ze słyszenia, ze streszczeń, ale po osobistej lekturze i przemyśleniu. Dzisiaj zyskuje on na znaczeniu w świetle napisanego w 2013 r. „Posłowia”, w którym profesor między innymi podniósł całkowicie zlekceważony w III Rzeczypospolitej problem nazwy dyscypliny.

24 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce*, Kraków 1992, s. 5.

25 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania politologów*, „*Studia Nauk Politycznych*” 2004, nr 2, s. 9 i 14; *idem*, *Polityczność i upolitycznienie...*, s. 65.

26 T. Klementewicz, *Rozumienie polityki...*, s. 30 i 92.

Warto jednak także zwrócić uwagę, że ze „Sporu o status metodologiczny nauki o polityce” łatwo wyprowadzić fałszywe wnioski, wbrew intencjom autora. Jest on, moim zdaniem, obarczony czymś, co nazwałbym „zespołem Feyerabenda”.

Książka Paula Feyerabenda, „Anything goes”,<sup>27</sup> której polski tytuł brzmi „Przeciw metodzie”,<sup>28</sup> a przede wszystkim sposób jej odbioru w globalnym środowisku naukowym, tworzy szczególne zjawisko. Ujawnia nam ono pewne charakterystyczne cechy zarówno twórczości metodologów, sposób ich rozumowania i prowadzenia wywodu, jak i funkcjonowania ich twierdzeń w świadomości uczonych.

Wnikliwi metodolodzy, próbując uchwycić specyfikę i możliwości metody naukowej, jednocześnie starają się wskazywać właściwe jej ograniczenia. Nie chcą być ideokopiarkami, dogmatykami, nie są w stanie trywializować własnych myśli. Obawiają się budowania ortodoksji i rozumieją znaczenie twierdzeń alternatywnych. Dlatego w swoich tekstach główne tezy uzupełniają szeregiem zastrzeżeń i w ten sposób powstaje problem interpretacji, w szczególności zaś zrozumienia zależności pomiędzy nimi. Aby podkreślić znaczenie pewnych spraw czy rozwiązań, niekiedy posługują się też dobitnymi sformułowaniami, jak uczynił to właśnie Feyerabend. Mało kto dzisiaj pamięta, że jego książka pierwotnie miała nosić znacznie skromniejszy, zwyczajny tytuł „Za i przeciw metodzie”.

Chyba w kręgach profesury zatrudnionej na wydziałach politologii nikt dzisiaj także nie pamięta, że Woleński przedstawił podstawy dwóch stylów rozumowania naukowego, możliwych do rozwijania podczas formułowania teoretycznych podstaw politologii. Stylów, które się nie wykluczają, ale uzupełniają wzajemnie, w zależności od tego, na jakim etapie rozwoju znajduje się dyscyplina nauki. Myślę, że nie będąc politologiem, jako metodolog nie chciał dokonywać rozstrzygnięć wymagających specjalistycznej wiedzy z zakresu dyscypliny nauki. Pokazał natomiast możliwe warianty rozwoju dyscypliny, sprowadzając je do pluralizmu i monizmu, jednocześnie wskazując na ograniczenia obu. Bardzo poważne, wymagające przemyślenia. Próbującym uprawiać nową dyscyplinę, profesor zaproponował istotny problem do rozważenia, którego oni nie zrozumieli.

Woleński napisał tekst nie jako wykład doktryny, ale jako zespół wskazówek dla badaczy rozwijających znaczącą dyscyplinę nauki. Po jego lekturze rozważenie pluralizmu i monizmu w świetle dotychczasowych badań nad przedmiotem poznania politologii zyskuje kluczowe znaczenie dla zrozumienia stanu dyscypliny. Gdyby do debaty nad tym problemem doszło po upadku komunizmu, nie nadawano by dzisiaj doktoratów w zakresie „nauk o polityce” i nikt nie głosiłby wyższości badań interdyscyplinarnych nad prowadzonymi w ramach dyscyplin. Nie doszłoby do sformułowania nonsensownej tezy o politologii jako „dyscyplinie interdyscyplinarnej”.

27 P. Feyerabend, *Against method; outline of an anarchistic theory of knowledge*, London 1979.

28 P. Feyerabend, *Przeciw metodzie*, Wrocław 1996.

Być może inaczej potoczyłby się też los innych nauk społecznych, w szczególności socjologii.

Stałoby się tak, gdyby czytano ważne teksty i stawiano elementarne pytania, nasuwające się po lekturze „Sporu o status metodologiczny nauki o polityce”. Po pierwsze, pytanie o znaczenie monizmu w rozwoju dyscypliny nauki. Po drugie, pytanie o to, jakie są podstawy metodologiczne pluralizmu i jego granice w nauce, a przede wszystkim w dyscyplinie nauki? Może pluralizm nie zna granic i nie potrzebuje debaty nad własnymi założeniami, aby oświecać swoim blaskiem umysły politologów? A może pluralizm był i jest przez nich (w szczególności zaś przez teoretyków polityki III Rzeczypospolitej) tak rozumiany, że prowadzi to do destrukcji całej dyscypliny nauki? Może pluralizm rozumieją oni wedle błędnie pojmowanej zasady *anything goes*? Albo jeszcze inaczej? Jeszcze bardziej skrajnie?

Teksty wybitnych teoretyków nauki charakteryzują się tym, że nie tylko nie nadają się do czytania pospiesznego i tym samym powierzchownego, ale wymagają lektury wielokrotnej, ponieważ zrozumienie ich treści jest sprawą złożoną. Zwykle więc konieczne są studia dodatkowe i czas potrzebny do przemyślenia. Chodzi o uwzględnienie nie tylko twierdzeń łatwo wpadających w ucho, zapisujących się w pamięci (jak owe słynne *anything goes* – z pewnością nie najważniejsza teza książki Feyerabenda, który przecież myślał w kategoriach *for and against*), ale także o zrozumienie trudniej dostrzegalnych znaczeń, zależności i wyważenie ostatecznych wniosków, nie zawsze przedstawionych dobitnie. Należy zwrócić uwagę na kwestie wątpliwe, niejednoznaczne, specyficzne. Metodolodzy nie mogą ich rozstrzygnąć, oni je sygnalizują, natomiast muszą się z nimi zmierzyć badacze uprawiający konkretną dyscyplinę nauki. Zmierzyć twórczo, a nie kopiując czyjeś twierdzenia i schodząc na poziom wiedzy potocznej, jak uczynili to teoretycy polityki III Rzeczypospolitej.

Tezy metodologów nie nadają się do mechanicznej, intuicyjnej i przypadkowej implementacji w praktyce badawczej. Tym bardziej ich stosowanie wybiórcze i pospieszne jest wielkim błędem. Metodologia to skomplikowane narzędzie. Posługiwanie się nim badacz uczy się przez całe życie.

Ponieważ profesorowie wszystkich dyscyplin nauki często przejawiają skłonność do wyrażania przekonania o własnej wielkości i sekciarstwa, tworząc nie szkołę naukową, ale grono osobistych wielbicieli (nieunikniony społeczny aspekt funkcjonowania wiedzy kreowanej przez jednostki ludzkie), refleksja teoretyczna, związana z badaniem podstaw ich rozumowania i dokonań badawczych, przychodzi im z trudem. Oni niejednokrotnie zapamiętują z publikacji metodologicznych tylko fragmenty potwierdzające ulubione hipotezy. Zwłaszcza dotyczy to pseudopolitologów, szczególnie skorych do dogmatyzmu, z ochotą operujących na poziomie wiedzy potocznej, literaturę przedmiotu znających ze streszczeń i pozbawionych zdolności do merytorycznej dyskusji.



Dlatego w publikacjach powstających na wydziałach nadających doktoraty z „nauk o polityce”, czyli w zakresie „dyscypliny interdyscyplinarnej” (całkowicie odpornych na krytykę zawartą w „Podstawowym dylemacie politologii”), znajdziemy szereg sformułowań wykazujących zaskakujące podobieństwo do niektórych zdań obecnych w tekście Woleńskiego, jednak przywoływanych w kolejnych pracach bez zrozumienia, mechanicznie lub rozumianych nieprawidłowo. Co gorsza, często stosuje się je jako usprawiedliwienie własnej nieudolności badawczej. Gdy Woleński przedstawił możliwą wersję teorii czy twierdzenia, bywało, że traktowano je jako jedyne dopuszczalne. Dotyczy to wszak tylko prostych kwestii, dających się sprowadzić do twierdzeń łatwo zapisujących się w pamięci. Urosły one do rangi pseudopolitologicznych mitów i nadal się je kopiuje, bez uwzględnienia odnoszących się do nich zastrzeżeń, wyraźnie obecnych w tekście profesora.

Wymieńmy kilka najbardziej nonsensownych pseudopolitologicznych mitów, kopiowanych w publikacjach:

1. Rzeczywistość jest wieloaspektowa. Trudno takie twierdzenie uznać za coś więcej aniżeli banał. Każda rzeczywistość jest wieloaspektowa. Nawet rzeczywistość polskiej pseudopolitologii.
2. Polityka jest wyjątkowo trudnym, wieloaspektowym obiektem badań. Jeśli tak, to jak złożony jest przedmiot poznania biologii, w szczególności zaś genetyki? Nawet elementarna wiedza dowodzi, że przedmiot poznania politologii nie jest bardziej złożony od przedmiotu poznania ekonomii, prawa czy pedagogiki i o wiele mniej skomplikowany od przedmiotu poznania biologii.
3. Nie jest rzeczą możliwą stworzenie uniwersalnej teorii polityki czy też teorii zjawisk politycznych. Głosi się, że istnieje wiele takich teorii. Ta teza jest efektem brania pseudoteorii za teorie i pominięcia problemu teorii dominującej w relacji do teorii ją uzupełniających. Tymczasem już przykład biologii pokazuje coś zupełnie innego. Tutaj obowiązuje jedna teoria (w drugiej połowie XIX w. przejściowo występowały dwie teorie), a inne są jej uzupełnieniem. Z pewnością istnieje wiele doktryn prawa. Czy jednak obecnie istnieje wiele teorii prawa? To kwestia do ustalenia. Chyba jednak łatwo wykazać, że wiele z tego, co prawnicy uznają dzisiaj za naukę i teorie, nie dysponuje takim statusem, jeśli poważnie traktuje się wymogi ustalone na gruncie naukoznawstwa. Niewątpliwie istnieje natomiast wiele pseudoteorii polityki, państwa i prawa.
4. Od teorii wymaga się zdolności przewidywania. Ta teza jest efektem wpływów marksizmu, a może też naiwnej ekonomii politycznej. Na przykład teoria ewolucji niczego nie przewiduje. Ona co najwyżej pozwala powiedzieć, że pewne zjawiska w przyszłości są bardziej prawdopodobne od innych. Jednak nikt poważny nie podważa jej wartości. Teorie ekonomiczne cechują się tylko tym, że kreują złudzenia związane z przewidywaniem, co dobitnie kolejny raz pokazał kryzys finansowy w 2008 r. Zrozumie to każdy, kto miał co-

kolwiek do czynienia z rynkami finansowymi. Teoria prawa z kolei także niczego nie przewiduje. Co najwyżej z kreowaniem prawa łączy się czynność przewidywania, ale to nie ma związku z teorią prawa. Co przewiduje socjologiczna teoria społeczeństwa? Nic!

5. *Politologia ma integrować wyniki badań prawa i innych nauk społecznych, ponieważ wyjaśniają one zjawiska polityczne.* Jeśli tak, to nie jest dyscypliną nauki tylko konglomeratem podrzędnej wiedzy o nieokreślonym charakterze. Zajmując powyższe stanowisko metodologiczne, nie rozróżnia się tutaj też dyscypliny nauki i jej nauk pomocniczych. Zapomina się, że dyscyplina nauki nie integruje czegokolwiek, tylko rozwijający ją uczeni badają specyficzny dla niej przedmiot poznania. W ten sposób niegdyś została zlekceważona elementarna wiedza z zakresu metodologii w pracy habilitacyjnej Barbary Krauz–Mozer,<sup>29</sup> będącej manifestacją skrajnego pluralizmu, możliwego tylko z powodu braku elementarnej znajomości dorobku politologii jako dyscypliny nauki.

Na wydziałach politologii nikt nie zajmuje się niuansami metateorii, ponieważ tutaj ceni się coś zupełnie innego. Dlatego milcząco przyjmuje się, że teorie są sobie równe, pluralizm jest dobry, interdyscyplinarność najlepsza i zakłada, że uzasadnia to poprzestanie na wyliczeniu teorii, a nawet pseudoteorii, bez oceny ich przydatności w wyjaśnianiu. Panujący tu poziom świadomości metodologicznej można uznać za pierwotny, wolny od wpływów podstawowej wiedzy z zakresu naukoznawstwa. Nikt nie widzi, że Woleński wskazał na konieczność odróżnienia pseudoteorii od teorii naukowych. Dlatego nie dostrzega się, że rozwijana w PRL teoria polityki o ambicjach naukowych została przekształcona w demokratycznej Polsce w pseudoteorię. Jest ona wyłącznie pseudonauką.

Nie bez znaczenia okazuje się też twierdzenie, że nie przedmiot konstytuuje teorię, ale to teoria tworzy swój przedmiot. Jest to teza prowokująca do polemiki i dyskusji. Wydaje mi się, że wymaga ona doprecyzowania i na ten temat dałoby się napisać obszerną książkę.

Ograniczę się do tezy pokazującej ważny problem. Nie teoria konstytuuje swój przedmiot poznania, tylko dociekliwe umysły kolejnych pokoleń badaczy dostrzegają istotny przedmiot poznania i za pomocą teorii próbują go wyjaśniać. To tylko z pozoru proste przeformułowanie tezy zmusza do postawienia nowych pytań, zwłaszcza kiedy przyjmujemy zupełnie nieznanne w kręgu politologów zastrzeżenie narzucane przez ewolucjonizm, że umysł jest przenoszony przez ciało, o którego los się troszczy. Pokazuje to, iż myśl, także teoria naukowa, nie jest abstrakcją, lecz pełni ważną funkcję w życiu organizmu takiego jak nasz. Może też pełnić funkcję w życiu zbioru organizmów, których los modyfikuje. W efekcie przejawiania przez umysł troski o los przenoszącego go ciała doktryny mogą być traktowane jako teorie na-

29 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, *op. cit.*

ukowe. W innych sytuacjach teorie naukowe zaczynają być traktowane instrumentalnie, jako doktryny będące na przykład środkiem politycznym.

Zjawiska te w zasadniczy sposób wpływają na idee przetwarzane przez jednostki i zbiorowości ludzkie. Gdy pomija je politolog, musi go to zaprowadzić na manowce nauki. Wtedy zaczyna on uprawiać pseudopolitologię. W każdym razie nie możemy zrozumieć, jak funkcjonuje nauka zarówno bez uwzględnienia jej twórcy, czyli umysłu, jak i środowiska, w którym ów umysł prowadzi badania i formułuje nie tylko teorie i doktryny, ale także posługuje się nimi zarówno podczas aktów czystego poznania, jak i wyrażania troski o przenoszące go ciało.

Z tekstu Woleńskiego przy pospiesznej lekturze można wnioskować, że określenie przedmiotu poznania nie ma wielkiego znaczenia. Można nawet sformułować konkluzję, że ta kwestia w ogóle się nie liczy. Prawdopodobnie nie docenił on wówczas znaczenia problemu przedmiotu poznania dla losów dyscypliny nauki powołanej z powodów politycznych, skazanej na kształtowanie się w zupełnie inny sposób aniżeli takie klasyczne dyscypliny nauki, jak astronomia, fizyka, chemia, biologia czy wreszcie historia i prawo. Tymczasem problem wymaga szerszego zastanowienia, zwłaszcza w kontekście znaczenia zagadnienia przedmiotu poznania w dojrzałych dyscyplinach nauki i wykreowanych na wyrost, jak politologia. Nadal też znajdujących się we wstępnej fazie rozwoju. Dzisiaj można, a nawet należy go rozważyć także w odniesieniu do medioznawstwa i polityki publicznej.

Przed wszystkim nasuwa się dość oczywiste pytanie. Znaczenie dyscyplin w hierarchii wiedzy naukowej jest różne. Od czego ono zależy? Wydaje mi się, że kluczowa rola w określaniu pozycji dyscypliny nauki przypada ocenie znaczenia wiedzy o ich przedmiotach poznania. Zarówno szerokiej ocenie społecznej, ujawniającej się w myśli potocznej, jak i w efekcie wyspecjalizowanej oceny naukowej, znajdującej wyraz w teoriach uchodzących za naukowe i funkcjonujących w społeczności uczonych, gdzie również wiedza mitologiczna, ludowa i pozbawiona sensu nie jest bez znaczenia.<sup>30</sup> Dlatego biologia znajduje się w tej hierarchii wyraźnie wyżej od towaroznawstwa i pedagogiki. Jej przedmiot poznania uchodzi za ważniejszy, nawet jeśli nie rozumie się tego, że bez wiedzy biologicznej nie można dzisiaj uprawiać wielu dyscyplin nauki, także pedagogiki i politologii.

Rola fizyki, chemii i astronomii nie wynika tylko z możliwości wykorzystania wyników badań uzyskanych w tych dyscyplinach w procesach produkcji dóbr. Pierwotnie była związana z podstawowymi pytaniami człowieka o pochodzenie materii, wszechświata i jego samego. Spoglądanie w niebo zmuszało do stawiania pytań, które spowodowały, że astronomia była jedną z pierwszych dyscyplin nauki, chociaż praktyczne wykorzystanie dostarczanej przez nią wiedzy długi czas było trud-

30 Nie ulega wątpliwości, że chociaż Barbara Kudrycka jest profesorem i otaczali ją w ministerstwie profesorem, to ten krąg decyzyjny posługiwał się głównie wiedzą potoczną, uzupełniając ją przypadkowymi informacjami, w tym także mitami i innymi produktami ignorancji.

ne do zauważenia. Rolę astronomii od początku określał wyłącznie jej przedmiot poznania, przez ludzki umysł uznawany za bardzo ważny. Dopiero później, dużo później, astronomia znalazła zastosowanie w praktyce. Gdy nikt nie myślał jeszcze o wyodrębnianiu dyscyplin nauki i przyznawaniu w nich doktoratów.

Rozumienie przedmiotu poznania ma ogromny wpływ nie tylko na metody możliwe do zastosowania w badaniach nad nim, ale także wyznacza rangę dyscyplin i poważanie, jakim cieszą się uprawiający je badacze. Jego określenie ma kluczowe znaczenie dla kształtowania tożsamości badaczy prowadzących nie badania naukowe, lecz badania naukowe w konkretnej dyscyplinie lub próbujących swoich sił na polu badań interdyscyplinarnych.

Problem nie polega na uznaniu lub negacji znaczenia przedmiotu poznania dla tej czy innej dyscypliny, ale na uświadomieniu sobie, że istniejące od dawna dyscypliny nauki dysponują tradycją i dorobkiem jasno określającym, czym zajmują się uprawiający je uczeni. Natomiast nowe dyscypliny, często powoływane nawet nie z powodów politycznych, jak niegdyś politologia, ale przypadkowo czy po prostu w efekcie ignorancji (jak obecnie medioznawstwo i polityka publiczna), mogą zaistnieć tylko wskutek zdefiniowania własnego przedmiotu poznania i wykazania, że jest on na tyle doniosły, iż powinien stać się obiektem dociekań nowej społeczności uczonych.

Warto jednak także pamiętać, że teza o znaczeniu przedmiotu poznania dyscypliny nauki została zweryfikowana w praktyce na polskich wydziałach politologii. Możemy obserwować skutki wprowadzenia w życie specyficznej pseudoteorii przedmiotu poznania, a właściwie pseudoteorii negacji przedmiotu poznania. Tutaj zakończenie debaty nie tylko nad przedmiotem poznania politologii, ale w ogóle nad problemem przedmiotu poznania (co doprowadziło do gloryfikacji rzekomo istniejącej metody interdyscyplinarnej), jaka miała miejsce w PRL, spowodowało ogłoszenie politologii „dyscypliną interdyscyplinarną”. To wyjątkowe „dokonanie”. Chyba nikt nie doprowadził do takiego nonsensu jakiegokolwiek dyscypliny nauki jak pseudopolitology, zwłaszcza zaś pseudoteoretycy polityki III Rzeczypospolitej, a głównym tego powodem była właśnie fałszywa ocena problemu przedmiotu poznania.

W efekcie elementarnych błędów metodologicznych teraz doktorzy „nauk o polityce” nie wiedzą, kim są i każdy może się ogłosić politologiem. Przedmiotem prac przedstawianych w przewodach doktorskich nierzadko są teksty na dowolny temat. Nikt też nie doprowadził do takiego stanu idei badań interdyscyplinarnych jak politology, którzy nie wiedzą o nich niczego więcej aniżeli to, że badania te są pożądane. Gdyby uważnie przeczytali „Spór o status metodologiczny nauki o polityce”, pewnie zdołaliby uniknąć kompromitujących ich błędów.

Tekst Woleńskiego przez polskich politologów został odczytany pospiesznie i powierzchownie. Zresztą tylko raz, po jego ukazaniu się. W tamtych czasach jesz-

cze poważnie traktowano problem przedmiotu poznania dyscypliny nauki,<sup>31</sup> dlatego nawet w kręgu teoretyków polityki tekst ten był obowiązkowy. Wraz z upadkiem uniwersyteckich wydziałów politologii kwestia ta straciła na znaczeniu. Problem podstaw dyscypliny okazał się zbyt trudny, dlatego z ochotą go zarzucono, opowiadając się za rzekomą interdyscyplinarnością własnej dyscypliny. Przyjęcie takiego stanowiska uwalniało od wysiłku i pozwalało cieszyć się życiem beztróskiego ignoranta, który nie stawia jakichkolwiek pytań badawczych i poświęca się kopiowaniu.

Rozważania metodologiczne zredukowano właściwie do tezy, że określenie przedmiotu poznania politologii jest bez znaczenia, a politologia jest „dyscypliną interdyscyplinarną”. Ta zmiana przyszła tym łatwiej, że tekst Woleńskiego wprawdzie cytowano, ale faktycznie mało kto go czytał. Po upadku PRL nikt już do niego nie wracał. Wyraźnie widać to z treści publikacji. Nie było dyskusji nad problemami w nim sformułowanymi, natomiast zaczęto powielać najprostsze tezy, które zapisały się niegdyś w pamięci. Nikt wszak nie zapamiętał, że w końcowej partii tekstu Woleński wskazał na konieczność określenia przedmiotu poznania politologii. Co więcej, stwierdził, iż tworzą go zjawiska polityczne. Taka teza była przecież niewygodna. Wymagała erudycyjnych badań. Nikogo nie interesowała krytyczna refleksja nad zmianami zachodzącymi na wydziałach politologii, których absolwenci są źle wykształceni i w badaniach naukowych sobie nie radzą, wypierani przede wszystkim przez prawników i historyków.

Teoretycy polityki III Rzeczypospolitej zinterpretowali rozważania Woleńskiego na swój sposób, zgodnie w własnymi możliwościami erudycyjnymi i ambicjami. Ich dyrektywy brzmią następująco:

- problem przedmiotu poznania nie ma znaczenia: *anything goes*;
- w konsekwencji tego ustalenia każdy politolog może pisać teksty na dowolny temat: *everything goes*;
- erudycja, czyli znajomość dorobku co najmniej własnej dyscypliny, nie ma znaczenia: *everything goes* – ignorancja jest dopuszczalna, a może nawet jest standardem;
- dorobek politologii jako dyscypliny nauki nie istnieje: *everything goes* – jeśli ignorancja jest standardem, a może nawet cnotą, autorytety w nauce są zbędne;
- głównym narzędziem badawczym politologa jest intuicja, a podstawową metodą jest kopiowanie: *everything goes* – ignorancja jest podstawą przynależności do środowiska uważającego się za grupujące politologów;
- politologia jest dyscypliną interdyscyplinarną, czyli faktycznie mamy do czynienia z „naukami o polityce”;

31 F. Ryszka, *Nauka o polityce. Rozważania metodologiczne*, Warszawa 1984, s. 15–16; K. Opalek, *Zagadnienia teorii prawa i teorii polityki*, Warszawa 1986, s. 130–134.

- dyskusja jest zakazana, a rozumujący wedle zasady *for and against* zasługują jedynie na wykluczenie ze środowiska;
- zasada *everything goes* nie dotyczy poddających w wątpliwość doktrynę interdyscyplinarnych „nauk o polityce”;
- pytanie o to, czym są i co badają „nauki o polityce”, zostało zakazane, jak zabroniono rozważać nad tym, czym są nauki polityczne, nauka o polityce i politologia;
- podniesiony w literaturze problem tego, co polityczne, był pomijany, albo przedstawiano go w sposób urągający warsztatowi nauki, w postaci dowolnych, wydumanych twierdzeń.<sup>32</sup>

Teoretycy polityki III Rzeczypospolitej nie opowiadali się za pluralizmem, ani nie głosili zasady „cokolwiek ujdzie”, w tym sensie, że mogą pojawiać się dowolne teorie, spośród których drogą selekcji zostanie wyłoniona teoria lub teorie najbardziej adekwatne w danym okresie. Oni sformułowali tezę zupełnie inną, niemającą nic wspólnego z wyrafinowanym rozumowaniem Feyerabenda. Oni powiedzieli: „niech żyje pluralizm”. Zdanie to rozumieli i nadal rozumieją następująco: selekcja teorii jest zbędna, wszystko jest dopuszczalne, o ile nie godzi w kultywowanie wygodnej ignorancji na wydziałach kształcących na studiach nazywanych „politologicznymi” i nadających doktoraty z „nauk o polityce”, gdzie obowiązuje doktryna „dyscypliny interdyscyplinarnej”. W ten sposób teoretycy polityki III Rzeczypospolitej nawiązali nie do anarchizmu Feyerabenda, ale do dogmatyzmu charakterystycznego dla WUML–a, zamykając swoje wydziały przed wszelkimi alternatywnymi ideami. Dlatego powoływali się także na tekst Woleńskiego, ale z ich publikacji widać, że bez odnoszenia do niego, mechanicznie, całkowicie na zasadzie „kopiuj-wklej”.

W ten sposób teoretycy polityki III Rzeczypospolitej wytyczyli podstawy pseudopolitologii jako jednego z wariantów współczesnej pseudonauki.

Wydziały prowadzące studia nazywane „politologicznymi” w demokratycznej Polsce można traktować jako swoiste laboratoria, których pracownicy przeprowadzali serię doświadczeń na samych sobie i kolegach. Przyjęli założenia w praktyce badawczej, rujnujące dyscyplinę nauki do tego stopnia, że pisane przez nich podręczniki najczęściej są zbiorami nonsensów, którymi indoktrynuje się studiującą młodzież.

Rozwój pseudopolitologii w czasach III Rzeczypospolitej pokazuje nam, do czego może prowadzić niefrasobliwe odczytanie wnikliwego tekstu teoretycznego. Gdy się do tego tekstu nie wraca, gdy bazuje się na powierzchownej lekturze, cytuje nie z oryginału, ale kopiując opracowania, gdy nie podejmuje się zagadnienia upadku

32 Z. Blok, *O polityczności, polityce i politologii*, Poznań 2009.

dyscypliny nauki. Dokładnie tak, jak to miało miejsce w Polsce w ciągu ostatniego ćwierćwiecza na uniwersyteckich wydziałach nadających licencjaty i magisteria z politologii oraz promujących doktorów w zakresie „nauk o polityce”, gdzie dominował i dominuje optymizm połączony z zakazem krytyki i w ogóle samodzielniego myślenia.

W tych ośrodkach nie tylko popełniono błędy wyliczone przeze mnie powyżej. Przede wszystkim na tych wydziałach zapomniano o elementarzu nauki. Zapomniano, że naukowcy są nie po to, aby kopiować, ale mają stawiać pytania. Ich pozycję wyznacza ranga problemów, których rozwiązania się podjęli.

Jakie pytania określają rangę wydziałów nadających doktoraty w zakresie „nauk o polityce”? Przecież łatwo zauważyć, że w publikacjach zatrudnionych na nich pracowników pytania zwykle stawiane są na poziomie typowym dla wiedzy potocznej. Na podstawie takiego „dorobku” przyznaje się doktoraty i tytuły profesorskie.

Dzieje się to nieprzypadkowo. W wyniku zignorowania podstawowych wymagań, jakim współcześnie musi sprostać dyscyplina nauki, szczególnie młoda i uwarunkowana politycznie, do głównych cech pseudonauki politologii należy:

- całkowite zlekceważenie problemu przedmiotu poznania dyscypliny;
- zastępowanie hipotez i twierdzeń ogólnikami w rodzaju nieugruntowanych i całkowicie nonsensownych tez o wyższości badań interdyscyplinarnych nad prowadzonymi w ramach dyscypliny, czy wreszcie politologii jako „dyscypliny interdyscyplinarnej”;
- poddanie się naiwnemu pluralizmowi, którego podstawą jest wiara w niesprecyzowaną interdyscyplinarność i pluralizm;
- zlekceważenie badań źródłowych, zastępowanych kopiowaniem wiedzy potocznej, czerpanej głównie z mediów, co w końcu prowadzi do zaniku aktywności badawczej (nie rozumie się już terminu „badanie naukowe”, przede wszystkim zaś nie dostrzega się, że celem badań naukowych nie mogą być publikacje, doktoraty, profesury, ale jest nim wyłącznie poznanie);
- wiele energii poświęca się powielaniu wiedzy jawnie fałszywej;
- pseudopolitologię szczególnie wspiera fałszywe pojmowanie wiedzy ludzkiej, polegające między innymi na uznawaniu doktryn za teorie, rozpisywaniu się o syndromach i metaforach (bez zrozumienia, że teoria naukowa nie zajmuje się syndromami, a posługiwanie się metaforami niszczy język nauki i zabija merytoryczną dyskusję, która powinna mieć na celu konfrontację teorii wyrażanych precyzyjnym językiem). Towarzyszy temu zupełna ignorancja w kwestii tego, co się dzisiaj rozumie jako naukę i teorię naukową.

Zaowocowało to nie tylko zabójczym brakiem refleksji nad przedmiotem poznania dyscypliny, ale także nad jej nazwą. **Nazwa (a właściwie nazwy) dyscypliny**

**i stosowana w jej ramach terminologia są w tym przypadku efektem stanu zaawansowania badań nad przedmiotem poznania, przede wszystkim zaś są konsekwencją niedorozwoju jego teorii.**

Pseudopolitologom jest wszystko jedno, czym się zajmują i tym bardziej nie ma dla nich znaczenia, czy uprawiają „nauki polityczne”, „naukę o polityce”, czy też „politologię”. W ich „twórczości” nie da się odnaleźć jakiegokolwiek sensu, jak sensu nie ma nazwa dyscypliny stosowana przy nadawaniu doktoratów.

### 3. Pluralizm i monizm

Dlatego dzisiaj warto postawić pytanie o podstawy teoretyczne pluralizmu. Co w ogóle znaczy ten termin w naukoznawstwie? Wielość teorii? Ale czego i jakich? Chyba to pytanie narzuca się samo? Dlaczego nie stawiają go rzecznicy politologii interdyscyplinarnej?

W rozumieniu rzeczników pluralizmu formułujących podstawy pseudoteorii polityki chodzi o wszystkie teorie i dowolną tematykę badawczą, przy czym nie różnią oni problemu i tematu. Tym samym proponują anarchizm badawczy, wedle nie do końca przestrzeganej zasady *everything goes*. Dlatego doktoraty z „nauk o polityce”, faktycznie rozumiane jako doktoraty z potocznie przedstawianej politologii, mogą być nadawane na podstawie prac z kolejnictwa, samorządoznawstwa,<sup>33</sup> medioznawstwa, drogownictwa i każdej innej problematyki, a za ważniejsze teorie politologiczne uznaje się feminizm<sup>34</sup> i inne formy seksizmu.

Natomiast nie mógł powstać i nie powstał żaden doktorat krytycznie analizujący podstawy myślenia w kategoriach „dyscypliny interdyscyplinarnej”. W ciągu ostatniego dwudziestolecia w zastraszającym tempie zmalała też liczba publikacji napisanych na podstawie badań naukowych. Nie wymaga się ich już nawet w rozprawach habilitacyjnych i książkach profesorskich. Autorzy tekstów pisanych wyłącznie na stopień często nie przywołują, ponieważ nie znają, podstawowych publikacji z zakresu podjętego przez siebie tematu (bo nie problemu badawczego, nie formułuje się go, opisując jedynie zjawiska za pomocą skopiowanego tekstu lub powielonych idei).

Nie przemyślano elementarnych kwestii. Czy możemy sformułować teorię bez rozważenia, co badamy i co ta teoria ma wyjaśniać? Czy pluralizm nie ma granic i na dodatek nie wymaga sformułowania własnej teorii? Na te pytania wyłącznie intuicyjnie pozytywnie odpowiadają teoretycy polityki III Rzeczypospolitej, a profeso-

33 Dlaczego samorządoznawstwa nie podniesiono do rangi dyscypliny nauki razem z medioznawstwem i politykami publicznymi? Może na to pytanie byłby w stanie odpowiedzieć któryś z doktorów „nauk o polityce” w zakresie samorządoznawstwa?

34 Feminizm też należałoby podnieść do rangi dyscypliny nauki? Może do tego problemu odniesie się któraś z politolożek propagujących „politologię feministyczną”?



rowie zatrudnieni na wydziałach nadających doktoraty z „nauk o polityce” w praktyce stosują ich zalecenia, ponieważ są wygodne.

Dlatego właśnie brak selekcji teorii, każda praca może być uznana za politologiczną i każdy może ogłosić się politologiem, nawet bez ukończenia studiów politologicznych. Wskutek tego doktorzy „nauk o polityce” nie wiedzą, co badają, kim są, ale to nikomu nie przeszkadza, ponieważ celem jest wyłącznie stopień albo tytuł uchodzący za naukowy i dający prawo do zatrudnienia na uczelnianym etacie.

W warunkach nadmiaru studentów, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza na wydziałach nadających doktoraty z „nauk o polityce” panowała pełna zgoda i toczyło się wygodne życie. Nikt nie dostrzegał, że politologia jako nauka przestała istnieć. W związku z tym także pytanie o pozycję politologii w strukturze wiedzy naukowej nie mogło być traktowane poważnie. Ostatecznego podsumowania dokonał Mirosław Karwat w 2004 r. w wymownym manifestie (zawierającym liczne zaskakujące, niespotykane dotychczas w pracach naukowych tezy), stwierdzając, że politologia jest już dyscypliną bardziej zaawansowaną aniżeli pozostałe, także starsze od niej.<sup>35</sup> Ta kompletnie nonsensowna teza nie spotkała się z krytyką nawet jednego profesora zatrudnionego na wydziale nadającym doktoraty z „nauk o polityce”. Przeciwnie, była i jest aprobowana.

Poglądy Karwata akceptują także filozofowie, uważający się za zdecydowanie mądrzejszych od politologów, w praktyce jednak podtrzymujący razem z nimi tezę o „dyscyplinie interdyscyplinarnej”. Publikacje filozofów udających politologów, kopiujących niektóre pomysły teoretyków III Rzeczypospolitej, najlepiej dowodzą, że praca na wydziale nadającym doktoraty z „nauk o polityce” intelektualnie rujnuje do samego końca. Każdego bez wyjątku.

Tymczasem już z tekstu „Spór o status metodologiczny nauki o polityce” wynika, że pluralizm w czystej postaci, bez ograniczeń narzucanych wnioskami wyciągniętymi z debaty nad przedmiotem poznania politologii, jest wyłącznie pseudonauką. Opowiadając się za takim pluralizmem przekształcono raczkującą politologię w pseudopolitologię, ale nikt tego nie dostrzegł. Nawet nie dostrzegli tego filozofowie z wydziałów, gdzie uczą się pseudopolitologię.

Najbardziej rozbudowanej odpowiedzi na pytanie o podstawy pluralizmu udzieliła w 1992 r. B. Krauz–Mozer w rozprawie „Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce”, stwierdzając, że pytania o przedmiot politologii i istotę polityki nie mają sensu. Dlatego najlepiej je unieważnić. Wedle zawartej w tomie wykładni politologia faktycznie nie jest nauką.<sup>36</sup> Prawdopodobnie teza ta dobrze trafiła w gusta krakowskich prawników, którzy w tamtym okresie decydowali o doktoratach z „nauk o polityce”.

35 M. Karwat, *Metodologiczne przewartościowania...*, s. 9.

36 B. Krauz–Mozer, *Metodologiczne problemy...*, *op. cit.*, s. 5, 10 i 12.

W Krakowie, wbrew opinii Woleńskiego, wielu uważało, że politologia nie jest nauką (spotkałem się z takimi tezami w prywatnych rozmowach) i prawdopodobnie dzisiaj jeszcze pogląd ten przeważa, a może nawet dominuje na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie obecnie nadaje się stopnie z „nauk o polityce”. Świadczy o tym sama nazwa placówki, która jest efektem rozpaczliwej, intuicyjnej próby wykroczenia poza nonsensowną pseudopolitologię.

Czy jednak ktoś w Polsce kiedykolwiek nawet nie powiedział, ale spróbował zastanowić się, czym są „studia polityczne”? Przecież ten termin mógł zostać sformułowany tylko w efekcie nieufności do tego, co nazywano „naukami politycznymi”, „nauką o polityce” i „politologią”, ale dzięki temu nie rozwiązano żadnego problemu. Nikt w Krakowie nie dostrzegł i nadal nie widzi, że termin „studia polityczne” ma genezę polityczną (według mnie jest wspólnym tworem zagubionych socjologów i przemądrzałych historyków myśli politycznej, których połączyła ignorancja w zakresie planowanych po upadku komunizmu badań politologicznych, najbardziej widoczna w Instytucie Studiów Politycznych PAN) i jest pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia naukowego.

Czym „studia polityczne” różnią się od „studiów politologicznych” i „nauk politycznych”? Dlaczego nikt nie próbował udzielić odpowiedzi na to pytanie? Wedle mojej wiedzy na krakowskim Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych nie pracuje dzisiaj nawet jedna osoba zdolna podjąć powyższy problem. Najbardziej popularną metodą stosowaną przez pracowników placówki, będącej kompletnie zatimizowaną federacją uchodźców z innych wydziałów nauk społecznych, jest ucieczka przed kluczowymi pytaniami badawczymi.<sup>37</sup>

W Krakowie nieświadomie uprawiają dyscyplinę interdyscyplinarną, chociaż bez poddania się anarchistycznemu pluralizmowi, zgodnie z którym „wszystko ujdzie”. Świadczy o tym nieobecność pośród prac doktorskich rozpraw spoza przedmiotu poznania politologii. Czyżby w Krakowie profesorowie dobrze ów przedmiot poznania czuli, nawet jeśli o nim nic nie potrafią świadomie powiedzieć? Dlaczego jednak nie podejmują problemów kluczowych dla dyscypliny, w której nadaje się doktoraty? Ponieważ wszyscy są albo uciekinierami z innych dyscyplin nauki, poszukującymi miejsca łatwej kariery, albo są źle wykształconymi uczniami tychże uciekinierów.

Z przywołanych powyżej tez Krauz–Mozer nie bez powodu wynikały następne, jeszcze bardziej druzgocące dla rodzącej się dyscypliny nauki: „[...] rozwój takiej dyscypliny jak politologia dokonuje się prawdopodobnie głównie na płaszczyźnie metodologicznej świadomości, gdzie kładzie się akcent nie tyle na to, co się bada,

37 Najbardziej zmiennym dowodem jest publikacja pod red. B. Krauz–Mozer, cytowana wyżej w przypisie 2 do tego tekstu. Trudno zrozumieć, dlaczego nikt dotychczas nie podał jej krytyce, a nawet ukazał się t. II (Kraków 2013), stanowiący kontynuację wykładu pseudonauki pluralizmu.

lecz przede wszystkim, jak się bada, jakie okoliczności towarzyszą temu badaniu, jaka jest wartość poznawcza uzyskanych rezultatów”.<sup>38</sup> Takie wnioski były możliwe tylko w efekcie niezajomości dorobku politologii, w szczególności zaś debaty nad problemem przedmiotu poznania, a także niuansów metateorii i socjologii wiedzy. Takie wnioski były możliwe wyłącznie wskutek nieświadomości, jak bardzo umacnia się intuicyjne, a nawet potoczne rozumienie politologii i nauki w ogóle.

Wtedy w Krakowie ukształtowały się podstawy pluralizmu i rozumowania w kategoriach „dyscypliny interdyscyplinarnej”, charakterystyczne dla pseudopolitologii III Rzeczypospolitej, skopiowane następnie na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Wówczas stworzono fundamenty pseudoteorii, która stała się oficjalnym wyznaniem na wydziałach nadających doktoraty z „nauk o polityce”, gdzie zakazano nawet elementarnej debaty.

Dlatego krytyka pracy Krauz–Mozera stała się niemożliwa. W końcu oficjalnie i dosłownie ogłoszono politologię „dyscypliną interdyscyplinarną”. Tak stworzono warunki do akceptacji nawet najbardziej nonsensownych tez. Na przykład odnośnie do „polityk publicznych”. Chyba nie przypadkiem na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego powstało „Centrum Ewaluacji i Analiz Polityk Publicznych UJ”. Taka nazwa mogła zostać sformułowana i zaakceptowana na tej uczelni tylko w efekcie upadku wydziału nadającego doktoraty z „nauk o polityce”. „Centrum Ewaluacji i Analiz Polityk Publicznych UJ” mogło zostać powołane do życia jedynie w efekcie kompletnej ignorancji w zakresie wiedzy z politologii (dorobku dyscypliny), charakterystycznej dla środowiska krakowskiego uniwersytetu, w fazie jego zaawansowanego upadku. Ono stanowi empiryczny dowód tej ignorancji w jej skrajnej postaci.

Decydującym czynnikiem, przesądzającym o wybraniu błędnej drogi, prowadzącej wyłącznie na manowce, ostatecznie okazała się jednak nie rozprawa habilitacyjna z 1992 r., ale mechanizmy określające funkcjonowanie całego środowiska uniwersyteckich wydziałów nadających doktoraty z „nauk o polityce”, które uniemożliwiły pojawienie się krytyki tej publikacji. Kiedy została już ona opublikowana po dwudziestu latach, potraktowano ją jako personalny atak na koleżankę, całkowicie pomijając problemy merytoryczne, szczególnie zaś nazwy dyscypliny i jej przedmiotu, proponując maturzystom nonsensowne studia z zakresu polityki publicznej, albo nawet mówiąc o „politykach publicznych”.

Kolejnym dowodem upadku doktorów „nauk o polityce” i promujących ich wydziałów są właśnie zainicjowane studia w zakresie zarządzania państwem. Powstały one tylko dlatego, że ci doktorzy nie rozumieją różnicy pomiędzy zarządzaniem i rządzeniem. Oni, zgodnie z właściwym im niedorzecznym przekonaniem, że wszystko jest polityką, nie pojmują, iż państwem się nie zarządza, tylko się rzą-

38 *Ibidem*, s. 7–8.

dzi! Na wydziałach „nauk o polityce” wszystko się przyjmie. Zaakceptowana zostanie każda nonsensowna teza. Są to wydziały, gdzie naiwnych studentów można indoktrynować dokładnie tak, jak czyniono to na WUML-u. Kiedyś indoktrynowano marksizmem, a dzisiaj indoktrynuje się polityką publiczną i zarządzaniem państwem. W końcu jaka to różnica, gdy ślepo wierzy się w doktrynę pluralizmu bez granic?

Mogą być publikowane rozmaite prace naukowe, dobre, kiepskie i bezsensowne. Zdarza się, że nawet na podstawie zupełnie bezsensownych tekstów nadaje się doktoraty. Potem one pokazują, które drogi są błędne. Taka jest właśnie rozprawa „Metodologiczne problemy wyjaśniania w nauce o polityce”. Krauz–Mozier poszła błędną drogą, jak wielu uczonych, przed nią i po niej. Lektura tej książki powinna wiele nauczyć, zwłaszcza kiedy próbujemy zrozumieć jej treść w powiązaniu z innymi publikacjami politologicznymi i pseudopolitologicznymi, przede wszystkim zaś rozprawami metodologicznymi i pseudometodologicznymi (np. autorstwa teoretyków polityki III Rzeczypospolitej).

Natomiast lektura „Sporu o status metodologiczny nauki o polityce” pokazuje nam, że nie wolno akceptować pluralizmu na zasadzie domniemania o jego słuszności czy poprawności. Narzuca się też pytanie o to, na czym polega faktycznie pluralizm w politologii? Jeśli politologia jest dyscypliną nauki, musi dysponować teorią własnego przedmiot poznania, który, zwłaszcza we wczesnej fazie rozwoju tej dyscypliny, należy traktować jako ważny obiekt nie egzegezy, ale sporu. Znaczenie tych pytań potwierdza przede wszystkim historia przekształcenia politologii w pseudopolitologię w III Rzeczypospolitej.

Już sam tekst Woleńskiego, zwłaszcza czytany w kontekście znajomości dokońń polskiej pseudopolitologii, skłania do sformułowania następujących pytań:

1. Gdzie leżą granice pluralizmu w politologii?
2. Czy pluralizm może w ogóle być traktowany jako zalecenie metodologiczne w warunkach braku rzeczowej dyskusji nad przedmiotem poznania i nieznaności dorobku dyscypliny nauki?
3. Co to jest erudycja i na czym polega jej znaczenie? Czy dyscyplina nauki może w ogóle istnieć, nie mówiąc o rozwoju, w warunkach braku znajomości jej dorobku?
4. Czy teorie dyscypliny nauki muszą mieścić się w jej przedmiocie poznania, czyli czy do dorobku dyscypliny nauki należą tylko takie teorie, które wyjaśniają zjawiska w obrębie jej przedmiotu poznania, czy może także inne? Dowolne? Na przykład w politologii mają zastosowanie teorie transportu, integracji europejskiej, marketingu, samorządu, gospodarki prze-

strzennej i politologia zajmuje się badaniem wymienionych obiektów?<sup>39</sup> Mają też zastosowanie doktryny chrześcijaństwa, liberalizmu, konserwatyzmu, marksizmu, feminizmu i wolno je traktować jako teorie? Są to teorie politologii, pseudopolitologii, jest to wiedza pomocnicza, czy może mamy tu do czynienia z pseudoteoriami albo doktrynami bezpodstawnie traktowanymi jako teorie?

5. Czy czasem na wydziałach naszych uniwersytetów nadających doktoraty z „nauk o polityce” pojęcia „teoria” nie rozumie się już nieomal wyłącznie w sposób potoczny?

Czy aby bezkrytyczna adaptacja przez uprawiających dyscyplinę nauki dowolnych teorii innych dyscyplin, a nawet pseudoteorii zaczerpniętych z wiedzy potocznej, nie jest błędem? Czy nie oznacza bezmyślnego kopiowania? Co uprawnia politologów do traktowania biopolityki, geopolityki, teorii stosunków międzynarodowych, behawioryzmu, teorii racjonalnego wyboru jako teorii politologicznych albo nawet przydatnych w politologii? Czy teologia polityczna to teoria politologiczna? Czy studia polityczne to studia politologiczne? Co upoważnia do twierdzenia, że istnieje politologia feministyczna? Czy istnieje też politologia anarchistyczna, animalistyczna, gerontologiczna i kosmologiczna? Czy odróżnienie środka politycznego (np. w postaci doktryny politycznej) od teorii politologicznej ma sens?

Już elementarna znajomość historii nauki, na przykład fizyki, biologii i astronomii, dowodzi, że pluralizm w nauce nie oznacza możliwości formułowania dowolnych teorii, nie oznacza braku selekcji, nieporadności i nie może być produktem ideokopiarek. **Pluralizm nie jest też przeciwieństwem monizmu.** Natomiast promocja ideokopiarek jest na uniwersytecie zawsze efektem popularyzacji naiwnego pluralizmu i zaniku krytyki naukowej. Te zjawiska występują razem i wzajemnie się umacniają. Już tylko dlatego, że naiwny pluralizm prowadzi do przyjęcia zasady *everything goes*. **Nie zasady, że cokolwiek ujdzie okresowo, zanim zostanie poddane selekcji, ale zasady, wedle której wszystko wolno, jeśli tylko nie godzi to w interesy profesury powtarzającej hasło pluralizmu i kopiującej proste formułki z mediów, a krytyka, tym bardziej zaś selekcja, są zabronione.** Tutaj nie ma mowy o anarchizmie w stylu Feyerabenda. Tutaj mamy do czynienia z typową pseudonauką, będącą wytworem specyficznych sieci stosunków społecznych i upadku kultury uniwersytetu.

Oczywiście w takich warunkach niedopuszczalna jest krytyka samego pluralizmu, która podlega bezwzględnej eliminacji, ponieważ ignorantom niszczy ciepłe gniazdo. Dostarczające profesorom nie tylko warunków do wygodnej egzystencji, ale także przyjemności przeżywanej podczas aktów posłuszeństwa ze strony asy-

39 Wbrew pozorom nie jest to pytanie ani nonsensowne, ani wydumane. Za prace z tych dziedzin przyznano liczne doktoraty z „nauk o polityce”.

stentów, którzy codziennie ćwiczą się nie w aktualizowaniu wiedzy i krytyce źródeł, ale w demonstrowaniu lizusostwa. Nie tylko w pokojach uniwersyteckich, ale także w publikacjach. Jak opisałem te czynności na wymownym przykładzie Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego,<sup>40</sup> gdzie podwładni głównie dbają o samopoczucie swoich przełożonych, a każdy przejaw dyskusji tłumiony jest jak akt buntu.

Pluralizm w wydaniu pseudopolitologicznym nie jest więc produktem nauki. Jest to wytwór sytuacji społecznej, ściśle związanej z kryzysem nauki i samej instytucji uniwersytetu. Taki pluralizm jest skutkiem niszczenia nauki przez polityków.

Odejdźmy jednak od pseudonaukowego rozumienia pluralizmu i zastanówmy się, na czym mógłby on polegać w nauce, rozumianej jako aktywność umysłu poświęcona rzeczywistemu poznaniu zjawisk uznawanych za ważne i godne takich czynności.

Pluralizm w wariacie wolnym od nonsensownych założeń oznacza, że mogą istnieć różne teorie, jeśli dotyczą rzeczywistości, którą zajmuje się dana dyscyplina nauki i zostały krytycznie zbadane pod kątem ich przydatności w wyjaśnianiu w tej właśnie dyscyplinie nauki. Teorie te nie dysponują jednak takim samym statusem. Dzielą się na główną i uzupełniającą. Nie są one ani formułowane, ani adaptowane przypadkowo, ale zwykle obowiązuje dominująca teoria (przejściowo, w okresie przełomu poznawczego czasem dwie), która jest obudowywana teoriami szczegółowymi, w zależności od tego, jakie aspekty przedmiotu poznania uznaje się za ważne. Jak to jest na przykład w fizyce, astronomii i biologii.

Biologia jest klasyczną, dojrzałą i uznaną dyscypliną nauki, gdzie darwinowska teoria ewolucji (czyli teoria jej przedmiotu poznania: teoria życia) jest obudowana i ugruntowana wieloma teoriami niższego rzędu, o zróżnicowanym znaczeniu i tym samym zróżnicowanym miejscu w hierarchii wiedzy biologicznej. Jej fundament stanowi teoria doboru naturalnego, którą uzupełniają teorie dziedziczenia i dostosowania łącznego. Te trzy bardziej szczegółowe teorie dostarczają obecnie kompleksowego wyjaśnienia zjawiska ewolucji życia, wyrażonego w teorii dominującej, czyli w teorii darwinowskiej.

Teoria darwinowska jest ogólną teorią przedmiotu poznania biologii, czyli teorią życia przesądzającą o postrzeganiu rzeczywistości przez biologów. Oprócz tego w biologii występuje wiele innych teorii uzupełniających, jeszcze niższego rzędu aniżeli teorie doboru naturalnego, dziedziczenia i dostosowania łącznego. Między innymi występuje teoria ewolucji wielopoziomowej, teoria superorganizmu, teoria budowania niszy czy teoria rozszerzonego fenotypu. Wreszcie występują teorie jeszcze bardziej wyspecjalizowane, jak na przykład teoria inwestycji rodzicielskiej, teoria konfliktu pomiędzy rodzicami i potomstwem, teoria samooszukiwania i teoria

40 R. Skarżyński, *Podstawowy dylemat...*, *op. cit.*, s. 123 i 133–134.

odwzajemnionego altruizmu. **Nie są to teorie zaczerpnięte z innych dyscyplin nauki**, ale są to teorie biologiczne, sformułowane przez biologów i stosowane do wyjaśniania zjawisk mieszczących się w przedmiocie poznania biologii.

Teorie niższego rzędu odnoszą się do zjawisk szczegółowych (np. w biologii do specyficznych form życia czy aktywności organizmów i zgrupowań organizmów wchodzących we wzajemne interakcje) i zawsze są formułowane w związku z teorią dominującą (można ją wzniosłe nazwać paradygmatem, ale w zupełności wystarczy skromne i jasne określenie „teoria nadrzędna”), która dostarcza podstawowego wyjaśnienia przedmiotu poznania dyscypliny nauki. Jednocześnie wobec wszystkich teorii mogą być formułowane teorie konkurencyjne. Także wobec teorii dominującej. Jednak przypadki pojawienia się teorii podważających teorię dominującą są rzadkie i zwykle możliwe tylko w nadzwyczajnych okresach przełomowych, kiedy dochodzi do zmiany systemów idei wyjaśniających funkcjonowanie świata, czyli światopoglądów.<sup>41</sup>

Gdy teoria przedmiotu poznania jest dobrze sformułowana i ugruntowana, może przetrwać nawet okres wielkich zmian światopoglądowych. Zwykle jednak zmiany światopoglądowe wspierają tego typu teorię, ponieważ jest zgodna z ogólną ewolucją wiedzy.

Taką zmianą światopoglądu (którego nie należy mylić z teorią naukową) było na przykład zastąpienie na uniwersytetach wizji religijnych świeckimi (proces ciągle trwa i jest odwracalny), czyli wprowadzenie idei wyjaśniających pochodzenie i funkcjonowanie rzeczywistości nie przez odwołanie się do czynników nadzwyczajnych i niepojętych (będących przedmiotem wiary), ale przez odniesienie się do fenomenów poddających się badaniu i wyjaśnianiu za pomocą teorii podlegających krytyce. Ta zmiana umożliwiła na przykład pojawienie się bardziej wnikliwych dociekań nad zjawiskiem życia i zastąpienie teorii lamarkizmu teorią darwinizmu. Otworzyło to nowe perspektywy badawcze w wielu dyscyplinach nauki, przede wszystkim zaś w naukach społecznych. Perspektywy, które jeszcze dzisiaj mało kto rozumie.

Gdy pojawia się światopogląd umożliwiający nowe wyjaśnianie rzeczywistości, zwykle dochodzi też do prób obrony starych idei, przede wszystkim zaś światopoglądu, który traci znaczenie. Efektem tego obecnie jest doktryna (często potocznie nazywana „teorią”) kreacjonizmu, której fundamentem jest wiara w działanie niepojętych sił sprawczych.

Dyscypliny nauki, jeśli nauka nie podlega degeneracji do postaci pseudonauki (jak to się dzieje obecnie i ujawnia w próbach wyodrębnienia takich dyscyplin pseudonauki, jak medioznawstwo i polityka publiczna), nie mogą być wydzie-

41 W przypadku teorii tak ważnej dla naszego rozumienia rzeczywistości, jak teoria przedmiotu poznania biologii, jest to problem jeszcze bardziej złożony, którego analizę tutaj pomijam.

lane dowolnie, jak nie mogą być dowolnie formułowane ich podstawy teoretyczne, przede wszystkim odnoszące się do przedmiotu poznania. W okresach przełomowych wprawdzie pseudouczeni lubią odwoływać się do tego, co odchodzi. Na przykład za naukę uznają teologię, marksizm czy feminizm. Jest to zjawisko normalne, ponieważ ludzie nie działają racjonalnie, tylko emocjonalnie, odwołując się do uczuć i kierując własnymi interesami.

**Zmiana myślenia jest więc możliwa, nie tylko dzięki prostej konfrontacji teorii tu i teraz. Przede wszystkim dokonuje się wskutek wymiany pokoleń.** Nowa generacja w sprzyjających warunkach dokonuje egzekucji nieprzystających już do rzeczywistości poglądów przodków i wymazuje wyznawane przez nich nonsensy z wiedzy uchodzącej za obowiązującą. Taki proces przeżywamy obecnie, gdy stare doktryny tracą znaczenie, a nowe (choćby w postaci różnych form seksizmu, którym próbuje się zastąpić między innymi rasizm i nacjonalizm) nie są w stanie zająć ludzkimi umysłami.

Gdy dochodzi do wymiany pokoleń, na znaczeniu tracą dotychczasowe układy sił społecznych i związane z nimi interesy. Otwiera się pole do aktywności nowych podmiotów, które do poprawy i zabezpieczenia własnych pozycji potrzebują poruszających uczucia idei, w tym także adekwatnych teorii naukowych. Nie mogą one być dowolne. Kto operuje anachronicznymi ideami, w końcu przegrywa z rzecznikami wiedzy pozwalającej lepiej rozumieć świat. Dlatego rozwój nauki nie jest neutralny, ale wywiera także skutki na układy sił społecznych. Zwłaszcza ma to miejsce w społeczeństwach, których stan jest coraz bardziej zależny od złożonych technologii.

Myślenie naukowe, którego podstawą w odniesieniu do życia jest już dzisiaj teoria ewolucji, z trudem zdobywa sobie znaczenie. Trudno zrozumieć nowe teorie, tym bardziej że opór stawia kreacjonizm, stanowiący naturalną formę uczuciowego odnoszenia się do świata, typowego dla gatunku ludzkiego. Z drugiej strony przeciwnikiem nauki stają się doktryny i pseudouczeni, proponujący nowe dyscypliny pseudonauki.

Teoria ewolucji tworzy podstawę nauk badających społeczeństwa zwierzęce, do których należą także społeczeństwa ludzkie. Taka klasyfikacja nauki jest trudna do przyjęcia dla pseudouczonych, którzy są tradycyjnie antropocentryczni, nie rozumieją teorii ewolucji i tym samym nie znają procesów kształtujących pozycję gatunku ludzkiego wśród innych gatunków zwierząt.

Mówiąc, że podstawę politologii tworzy teoria ewolucji, czyli teoria biologii, nie twierdę, że teoria ewolucji jest teorią politologiczną. Jest to teoria nadrzędna, która wytycza rozumienie zjawisk politycznych. Przecież zjawiska polityczne są efektem interakcji ludzi, a więc organizmów ukształtowanych w procesie ewolucji życia. Ewolucji przebiegającej w skali miliardów lat między innymi od komórki do złożonych struktur społecznych globalnej poliarchii, grupującej obecnie



miliardy organizmów nie tylko ukształtowanych, ale zmuszonych do uczestnictwa w specyficznych sieciach stosunków międzyosobniczych działaniem doboru naturalnego (a nie chrześcijan, muzułmanów, żydów, liberałów, marksistów czy socjalistów). Tak samo, przykładowo, biologiczna teoria rozszerzonego fenotypu będzie przydatna do wyjaśniania zjawisk społecznych i politycznych w szczególności, ale nigdy nie będzie ani teorią socjologiczną ani teorią politologiczną. Jest ona próbą biologicznego wyjaśnienia procesów ewolucyjnych prowadzących do inicjacji zjawisk społecznych. Jej socjologicznym odpowiednikiem mogłaby być teoria społecznego rozszerzenia życia, czyli teoria wyjaśniająca fenomen życia z perspektywy jego społecznego rozwoju i zaangażowania. Konfrontacja tych teorii mogłaby doprowadzić do wyartykułowania jednolitej teorii życia, wyjaśniającej funkcjonowanie życia w każdej postaci, komórkowej i społecznej.<sup>42</sup>

Pluralizm w wersji prostszej i właściwie bliskiej myśleniu potocznemu oznacza, że na pewnych etapach rozwoju dyscyplin nauki mogą (ale nie muszą) istnieć różne podstawowe teorie, które podlegają selekcji, jak miało to miejsce na przykład w biologii, gdzie lamarkizm został zastąpiony przez darwinizm. Oczywiście w naukach społecznych, a ekonomia jest tego najlepszym przykładem, może istnieć więcej takich teorii i mogą one przejściowo mieszać się z pseudoteoriami. Zwłaszcza gdy wielu profesorów ekonomii przekształciło się w lobbystów funduszy inwestycyjnych, towarzystw ubezpieczeniowych, banków i parabanków. Część z nich zawsze jest efektem nie rozwoju nauki, ale gry interesów profesorskich, a także chociażby finansistów i polityków. Jednak rozwój dyscypliny nauki spowoduje z czasem wyeliminowanie prawie wszystkich z nich. Często nawet nie w efekcie krytyki, lecz zapomnienia.

Może oczywiście istnieć wiele teorii zjawisk politycznych, ale czy faktycznie takie teorie istnieją? Tego dzisiaj do końca nie wiemy, ponieważ nikt nie prowadził szerszych badań nad takim problemem. Skłaniam się do hipotezy, że dotychczas została sformułowana jedna teoria, która stopniowo się rozwija i pojawia w kolejnych wariantach. W każdym razie, nawet gdyby istniało wiele teorii politologii, to byłyby to wyłącznie teorie zjawisk politycznych. Poza nimi wszystko to, co nazywa się naukami politycznymi, nauką o polityce i politologią, jest pseudonauką, będącą tworem nawet nie błędnego myślenia, ale elementarnej ignorancji.

**Teoria tego, co polityczne, czyli teoria zjawisk politycznych jest główną teorią politologii.** Na gruncie politologii rozumianej jako dyscyplina nauki, obok głównej teorii dyscypliny, może występować, jak we wspomnianej wyżej biologii, wiele teorii szczegółowych, podrzędnych wobec ogólnej teorii zjawisk politycznych. Na przykład teoria mobilizacji politycznej, teoria poliarchii, teoria władzy politycznej, teoria państwa, teoria podmiotowości politycznej, teoria dynastii, teoria

42 Ta teoria już faktycznie istnieje, tylko jeszcze nie została uznana przez społeczność akademicką.

partii politycznych, teoria oligarchizacji partii i systemów politycznych itd. Może występować, szczególnie gdy pod uwagę weźmiemy brak dyscypliny myślowej politologów i zdolności do selekcji dostępnego materiału (obawa przed oskarżeniem o wykluczenie?), nawet po kilka czy kilkanaście teorii wyjaśniających jedno zjawisko polityczne. Ale to nie są teorie samodzielne, tylko – jeśli są to teorie naukowe i politologiczne – są to teorie podrzędne wobec teorii zjawisk politycznych, ponieważ bez niej nic nie znaczą. Pozostają wyrwane z kontekstu i bezwartościowe, jak bezwartościowa jest teoria rozszerzonego fenotypu bez teorii ewolucji.

Należy oddzielić teorie naukowe od pseudonaukowych, bezzasadnie nazywanych teoriami. Na przykład pseudoteorie budowane na doktrynach, jak feminizm, od teorii ugruntowanych na teorii naukowej wyższego rzędu, czyli na przykład sformułowanych na bazie teorii ewolucji (choćby teoria mobilizacji politycznej). Dzisiaj triumfuje pseudopolitologia, ponieważ stworzono społeczne warunki do rozwoju pseudonauki. Głównym podglebiem dla tych procesów, ujawniających się wyodrębnieniem między innymi medioznawstwa i polityk publicznych, jest właśnie pseudopolitologia, gdzie nie rozróżnia się dyscypliny nauki od kierunku studiów. Wyłącznie naiwni pseudopolitologowie uważają, że podstawą do funkcjonowania kierunku studiów może być tylko dyscyplina nauki.

Profesorowie wydziałów nadających doktoraty z „nauk o polityce” swoją działalnością pokazali, do czego prowadzi bezgraniczny pluralizm w nauce. Prowadzi wyłącznie do katastrofy w postaci ignorancji i utraty tożsamości. A przecież Woleński w 1975 r. przestrzegał przed wyborem takiej opcji. Naiwny, potocznie rozumiany pluralizm jest odpowiedzialny za utrzymanie nazwy „nauk o polityce” i wprowadzenia pseudoteorii „dyscypliny interdyscyplinarnej”, a potem „polityk publicznych” i pseudonauki nazywanej „medioznawstwem”. Efektem tego jest zanik sporu i uznanie monizmu za stanowisko pozbawione sensu. Przychodzi to tym łatwiej, że monizm wymaga erudycji, czyli znajomości dorobku własnej dyscypliny nauki. I to znajomości w kwestiach najtrudniejszych: debaty nad przedmiotem poznania dyscypliny. Natomiast pluralizm pozwala ograniczyć się do bezrefleksyjnego, wygodnego powtarzania formułek o konieczności uprawiania badań interdyscyplinarnych, jak to z upodobaniem robią pseudouczni nazywający się „medioznawcami”, reprezentujący co najwyżej poziom myślenia „towaroznawców”.

Właśnie towaroznawstwo i medioznawstwo stanowią przykłady triumfu pseudonauki, którego skutkiem bywa wyodrębnianie dyscyplin całkowicie fałszywie prezentowanych jako przejaw nauki.

Wznowienie tekstu Woleńskiego stanowi znakomity punkt wyjścia do przypomnienia klasycznych, nieprzemijających problemów dyscypliny nauki i postawienia nowych pytań, zwłaszcza kiedy uwzględnimy, że tekst ten jest obciążony zespołem Feyerabenda i tym samym wymaga szczególnej uwagi podczas czytania. Wymaga też czegoś tak dzisiaj niemodnego, obcego pseudopolitologom, medioznawcom i po-

litykom publicznym, jak przemyślenie problemów badawczych. Z lektury prac polskich pseudopolitologów wynika jeden wniosek: tekst Woleńskiego należy do typowych ważnych tekstów naukowych, w których trafnie, ale jednocześnie w sposób złożony poruszono podstawowe problemy. Wielu takie teksty cytuje, ale nikt lub prawie nikt ich nie czyta.

Tekst Woleńskiego jest ważny także z innego powodu. Gdy na jego tle bada się historię politologii III Rzeczypospolitej, można sobie uświadomić, do czego prowadzi rezygnacja z refleksji teoretycznej i metodologicznej. Nie trzeba absolutyzować problemu przedmiotu poznania (nie jest to najważniejszy problem dojrzałej dyscypliny nauki, czyli np. fizyki, chemii, astronomii czy biologii, gdzie obecna jest już zaawansowana teoria dominująca, dobrze wyartykułowana i umiejscowiona w świadomości badaczy), jednak zlekceważenie tej kwestii, zwłaszcza w przypadku dyscyplin znajdujących się we wstępnej fazie rozwoju, zawsze oznacza przekształcenie dyscypliny nauki w wiedzę potoczną, co jest tożsame z upadkiem i próbami kreowania takich dyscyplin pseudonauki, jak medioznawstwo i polityka publiczna.

Politologia nie jest pierwszą upadłą dyscypliną nauki. I nie będzie ostatnią. Nie jest jednak dzisiaj jasne, czy obecne generacje pseudopolitologów zdolają nawet przyswoić sobie prostą myśl, że politologia zasługuje na miano dyscypliny nauki. Dyscypliny nauki zajmującej się doniosłym przedmiotem poznania, a nie takim, jakie „badają” towaroznawstwo, medioznawstwo czy polityka publiczna. Zupełnie nie sprzyja temu środowisko społeczne, zwłaszcza zaś proces destrukcji zadłużonych demokracji Zachodu i konfrontacja z islamem. To starcie nie jest i nie będzie konfrontacją ideologiczną. Jest i pozostanie tylko walką, w której liczą się jedynie imigracja, inwigilacja, wielkość populacji i przemoc. Przemocy używa się w warunkach zakończenia sporów ideologicznych w obrębie cywilizacji zachodniej, gdy nie szuka się dla niej jakiegokolwiek uzasadnienia. Gdzie inwigilacja i terror stały się normalnymi działaniami rządów.

Historia pseudopolitologii III Rzeczypospolitej, zwłaszcza kiedy poznaje się ją po lekturze tekstu Woleńskiego, pokazuje, że wiedza na temat przedmiotu poznania, a przynajmniej świadomość jego istnienia, jest ważna, ponieważ między innymi uzmysławia badaczowi granice badanego obiektu i fakt, że nie eksploruje go przypadkowo. Oczywiście granic tych nie wyznacza się raz na zawsze. Nauka zmienia się z wielu powodów, ale zanik teorii zawsze owocuje zagubieniem i akceptacją twierdzeń dawno zweryfikowanych jako błędne. Dokładnie tak, jak ma to obecnie miejsce w polskiej pseudopolitologii.

## 4. O tomie

Zebrane w niniejszym tomie teksty nie powstały, aby udzielić odpowiedzi na kluczowe pytania o przedmiot poznania najważniejszych dyscyplin nauk społecznych. Nie żyjemy w czasach pozwalających na podjęcie takiego przedsięwzięcia. Już tylko dlatego, że dzisiaj dominuje posttotalitarny, antyteoretyczny, intuicyjny, a nawet wręcz potocznie rozumiany pluralizm, którego wyeliminowanie będzie wymagało pracy przez pokolenia. Jeśli w ogóle zostanie ona podjęta w epoce końca tradycyjnego uniwersytetu, który może już nie odrodzić się tylko dlatego, że nowe technologie radykalnie opanują nasze życie i nadają mu nowe ramy.

Zebrane teksty pokazują możliwe kierunki refleksji metodologicznej w naukach społecznych i aktualny stosunek reprezentantów dyscyplin nauki do problemu przedmiotu poznania. One nie mają dostarczać gotowych rozwiązań, ale mobilizować do rozważenia problemów metodologicznych od początku.

Do tomu nieprzypadkowo włączyłem pierwszą wersję „Podstawowego dylematu politologii”.<sup>43</sup> Uczyniłem to nie tylko dlatego, że redakcja „Studiów Politologicznych” odmówiła jego publikacji w 2010 r. Na propozycję złożoną wiosną 2013 r. redaktorowi naczelnemu ogłoszenia tekstu jako dokumentu historycznego w ogóle nie otrzymałem odpowiedzi.

Tymczasem wydaje mi się, że „Podstawowy dylemat politologii I” dzisiaj jest ważnym dokumentem pokazującym, że już w 2010 r. potrzebna była dyskusja i sformułowałem wówczas istotne tezy do jej zainicjowania. Treść i los tego tekstu dowodzą, że nawet powierzchowna debata nad problemami metodologicznymi politologii na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW była, i w świetle odbioru książki z 2012 r. o tym samym tytule, nadal jest zakazana, ponieważ tutaj tylko wolno kopiować znane formułki „dyscypliny interdyscyplinarnej” i „nauk o polityce”. Rzeczywiste problemy badawcze są traktowane jako tabu, natomiast głównym zadaniem asystentów jest adorowanie profesorów.

W ten sposób Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego można przedstawić jako główną powielarnię tej uczelni, ale nikomu to nie przeszkadza i nie wywołuje protestu. Prawdopodobnie dlatego, ponieważ kopiowanie jest już dominującą metodą w polskiej nauce. Teraz idzie tylko o udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy kopiuje się wyłącznie, jak na WDiNP UW, wiedzę potoczną, czy sięga także po dokonania nauki światowej? Gdy nieomal zanikła wiedza na temat tego, czym jest nauka, dyscyplina nauki, przedmiot poznania, jakie są relacje pomiędzy pluralizmem i monizmem.

43 Jako Podstawowy dylemat politologii I. Podstawowy dylemat politologii II to książka o tym tytule opublikowana w 2012 r. Natomiast Podstawowy dylemat politologii III tworzy zakończenie niniejszego tomu.

Aby zbadać, jak rozumie się problem przedmiotu poznania w innych naukach społecznych, poprosiłem o teksty reprezentantów różnych dyscyplin. Zaproszeni profesorowie odpowiedzieli pozytywnie. Efektem tego są przedstawione rozprawy, do których dołączyłem moją analizę problemu przedmiotu poznania politologii. Myślę, że ten zbiór stanowi ważny wkład nie tylko do zrozumienia problemu przedmiotu poznania dyscypliny nauki, do zaznajomienia się z problematyką przedmiotów poznania pięciu dyscyplin nauki, ale także będzie stanowił impuls do rozwoju debaty o przedmiocie poznania politologii, a może i innych nauk społecznych. Jego lektura pobudza do stawiania wielu pytań.

Zbiór ten, żywiąc taką nadzieję, pozwoli też ostatecznie zerwać z naiwnym pluralizmem, głoszącym, że politologia integruje badania starszych dyscyplin nauki. Być może da impuls do rozwoju wyrafinowanego pluralizmu, którego bardzo potrzebujemy. Tym bardziej że moje dalsze poszukiwania tekstów do tego tomu pokazały, iż faktycznie politologia nie ma czego integrować. Powinna natomiast traktować inne dyscypliny nauki jako własne nauki pomocnicze.

Z propozycją napisania tekstów o przedmiotach poznania zwróciłem się też do kilkunastu profesorów, którzy uzurpują sobie uprawianie „nowych dyscyplin nauki” i próbują je lansować, czyli do medioznawców, internacjologów i tych, którzy zaczęli odgrywać rolę „polityków publicznych”.

Kilku profesorów całkowicie zignorowało moją prośbę. Kilku innych stwierdziło, że nie czuje się kompetentnych. Tylko jeden profesor socjologii, kierujący centrum „polityk publicznych” (a nie polityki publicznej) na flagowym uniwersytecie, zgodził się na dostarczenie tekstu o przedmiocie nowej dyscypliny. Obiecał, że napisze go z kolegą politologiem. Jednak jego wola dokonania tego bardzo osłabła w przeciągu kilku miesięcy, jakie miał na przygotowanie tekstu. W końcu zanikła i przestał reagować na moje maile.

Ten tom jest dowodem na to, że medioznawstwo, polityka publiczna i „polityki publiczne” są jedynie efektami ekspansji pseudonauki na uniwersytetach w warunkach głębokiego upadku tej instytucji. Mamy tu do czynienia z dyscyplinami nie nauki, tylko pseudonauki, a głównym dowodem uzasadniającym postawienie takiej tezy jest brak zdolności do zgodnej z wymaganiami współczesnej nauki refleksji nad przedmiotem poznania dyscypliny nauki. Taki sam status ma internacjologia, której reprezentanci jeszcze nie wyodrębnili własnej dyscypliny, ale myślą o tym intensywnie, gubiąc się na razie w rozważaniach nad interdyscyplinarnością, teorią stosunków międzynarodowych, geopolityką i geoekonomią.

Medioznawcy i politycy publiczni nawet nie wiedzą, że dowód, iż badają doniosły przedmiot poznania, jest warunkiem wyodrębnienia nowej dyscypliny nauki. Wykształceni i wypromowani głównie przez pseudopolitologów, umieją jedynie kopiować proste formułki z zakresu wiedzy potocznej i tym samym są ignorantami w kwestiach fundamentalnych. Korzystają na destrukcyjnej polityce rządu polskie-

go wobec uniwersytetów i są dla tych uniwersytetów jedynie obciążeniem. Ośmieszają nie tylko pseudopolitologów, ale te uniwersytety jako ośrodki upadku nauki.

Chciałem też, aby w niniejszym tomie znalazło się kilka tekstów socjologów prezentujących ich rozumienie zjawisk politycznych. Na ten temat, jak i w kwestii przedmiotu poznania socjologii prowadziłem liczne dyskusje. Trzech profesorów wyraziło gotowość dostarczenia wypowiedzi o socjologicznym rozumieniu zjawisk politycznych, ale żaden nie dotrzymał słowa. Dyskusja z nimi stopniowo wygasła. Z wymiany listów i bezpośrednich rozmów wynika, że w przypadku takiego sformułowania problemu nie są oni w stanie postawić żadnej tezy zdolnej opierać się elementarnej krytyce. To także dowodzi, że politolodzy nie mają czego integrować. Muszą iść własną drogą.

Potwierdziła się wygłoszona przez mnie w „Podstawowym dylemacie politologii” opinia: współczesna socjologia nie jest dyscypliną nauki, która wniosła jakikolwiek wkład do badań nad tym, co polityczne.<sup>44</sup> Socjologia, poza historycznym już dziełem Maxa Webera, nie oferuje czegokolwiek politologii, co mogłaby ona włączyć do wiedzy o zjawiskach politycznych. Socjologia dostarcza natomiast wiedzy o wielu zjawiskach społecznych, której poznanie jest warunkiem rozwoju politologii, przede wszystkim zaś teorii jej przedmiotu poznania. Dlatego jest ważną nauką pomocniczą politologii.

Podczas dyskusji z socjologami, gdy mogłem bezpośrednio obcować z charakterystyczną dla wielu z nich niebywałą zarozumiałością, ujawniającą się w przekonaniu o własnej mądrości i wielkości (ich przejawy widzimy często w telewizji), nabrałem dość szczególnych podejrzeń: współczesna polska socjologia może przeżywać podobny kryzys do zaobserwowanego na wydziałach politologii. Niestety socjolodzy chyba nie tylko nie zdają sobie z tego sprawy. Za wszelką ceną starają się prezentować wielki optymizm odnośnie do aktualnego stanu własnej dyscypliny. Optymizm oficjalny, czasem jednak sprawiający wrażenie fasadowego. Być może coś się rodzi za frontonem demonstrowanego optymizmu i socjologicznej poprawności, ale obecnie jeszcze nie sposób powiedzieć co. Z pewnością jednak socjolodzy jeszcze nie są świadomi, że uleganie dogmatyzmowi i pseudonauce, mieszanie myśli społecznej z teorią socjologiczną, zwłaszcza zaś obrona układów towarzyskich, prowadzą do autodestrukcji nie tylko dyscyplinę nauki, ale także ich samych. Jak stało się to z teoretykami polityki III Rzeczypospolitej.

Optymizm socjologów odbieram jako efekt poddania się naiwnemu empiryzmowi (dokładnie na poziomie teorii jabłka Newtona), skutek zaniku w ich kręgu debaty nad sprawami podstawowymi. Nie tylko nad przedmiotem poznania dyscypliny. Przede wszystkim nad teorią nadrzędną wobec socjologii i statusem poznawczym teorii socjologii jako dyscypliny nauki, a nie doktryny społecznej, two-

44 R. Skarżyński, *Podstawowy dylemat...*, *op. cit.*, s. 177–183.

rzonej w walce z wykluczeniem. W efekcie tego socjologdy, w warunkach końca marksizmu i w ogóle upadku ideologii, bez reszty poddali się wpływowi rozmaitych wydań seksizmu, ulegając także potocznemu pojmowaniu dyskryminacji społecznej. Zupełnie nie rozumieją genezy i mechanizmów selekcji społecznej, nie dostrzegają też różnicy pomiędzy myślą społeczną i nauką badającą społeczeństwo.

Być może obok socjologii rozwinęła się także pseudosocjologia? Efektem tego jest zadziwiający fenomen ignorowania ewolucjonizmu. Jego obecność jest wprawdzie dostrzegana, także w publikacjach, ale brak zdolności inkorporowania go do teorii socjologii jako dyscypliny naukowej. Tymczasem jest to elementarny warunek jakiegokolwiek jej rozwoju. Dzisiaj wydaje mi się, że na polskich uniwersyteckich wydziałach socjologii prędzej prawo szariatu zostanie uznane za naukę aniżeli darwinizm.

Zamiast poszukiwać podstaw własnej dyscypliny nauki, socjologdy powielają styl myślenia neomarksizmu i próbują walczyć z opisywanymi przez siebie formami wykluczenia społecznego, tracąc z oczu problem podstawowych mechanizmów określających funkcjonowanie ludzkich społeczeństw. W ten sposób tworzą złudzenie walki o ideały (faktycznie „walczą z wiatrakami”), nie rozumiejąc, że nie może to być celem badaczy. Socjologdy nie zdają sobie sprawy z tego, że w ten sposób dewastują własną dyscyplinę nauki.

Przygotowując tę książkę, podjąłem próbę zainicjowania szerszej dyskusji, również na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego i innych wydziałach, których rady naukowe nadają doktoraty w zakresie „nauk o polityce”, a także wprowadzają w praktyce doktrynę „dyscypliny interdyscyplinarnej” i studia z zakresu polityki publicznej. Ostatecznie zachęcił mnie do tego tekst Mirosława Karwata,<sup>45</sup> będący skrajną próbą obrony pseudonauki środkami stosowanymi niegdyś na zebraniach PZPR i na wykładach WUML-a.<sup>46</sup> Okazję stworzyła też publikacja *Geoekonomii* pod redakcją Edwarda Haliżaka, stanowiąca najnowszy manifest możliwości tkwiących w pseudopolitologii. Temu manifestowi odwieczny dyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych UW próbuje nadać charakter naukowy, jednocześnie broniąc go środkami administracyjnymi przed krytyką, której publikację uniemożliwił.

Ośmiu profesorów obiecało teksty. Szybko jednak okazało się, że do powstania większości z nich nie dojdzie. Ostateczny efekt prezentuje niniejszy tom.

Na koniec pozwoliłem sobie zamieścić własny tekst odnoszący się do podstawowych problemów, jakie pojawiły się w efekcie opublikowania książki „Podstawo-

45 M. Karwat, O książce Ryszarda Skarzyńskiego pt. *Podstawowy dylemat politologii*, „e–Politikon” 2012, nr 4, s. 5–41.

46 Z przerażeniem odnotowuję, po dyskusjach z młodszymi pracownikami naukowymi Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, że nie tylko nie wiedzą, jak funkcjonował WUML, czego tam uczono „studentów”, ale niektórzy w ogóle nie mają pojęcia o istnieniu tej instytucji.

wy dylemat politologii”. Niektóre z nich, w szczególności problem teorii nadrzędnej wobec teorii politologii, mają kluczowe znaczenie. Być może kiedyś te zagadnienia powrócą, jeśli odrodzą się uniwersytety, czyli wspólnoty profesorów i studentów, autonomiczne i dzięki temu zdolne stawiać pytania badawcze w zakresie dyscyplin naukowych i poza nimi. Gdy dojdzie wreszcie do odrodzenia rozumienia nauki w kategoriach monizmu i pluralizmu, a wiedzy potocznej i doktrynalnej nie będzie się mieszało z teoriami naukowymi. Gdy profesorowie będą rzeczywiście profesorami, czyli będą mówić to, co myślą, a nie to, czego się od nich oczekuje.